MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 3. WARSZAWA, 17 STYCZNIA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

KATOLICYZM W DZISIEJSZYM KRYZYSIE ŚWIATOWYM

DWA LATA ostatnie uwydatniły szczególnie ostrość kryzysu, nietylko gospodarczego, w jakim pogrążył się świat naszej cywilizacji.

Kryzys zaznaczył się w dziedzinie religijnej niemniej niż w rozstroju innych tradycyjnych poglądów i instytucyj, a w Anglji może głębiej, niż w jakimkolwiek innym kraju europejskim.

Z głosów angielskich na temat kryzysu w dziedzinie religijnej, jednym z najciekawszych pozostaje zapewne wydana przed dwoma laty książka głośnego pisarza i publicysty katolickiego — Hilarego Belloca. Zaznajomienie się przynajmniej z niektóremi jej tezami lepiej wprowadzi nas w krąg idej angielskich (obozu katolickiego) o kryzysie, niż wertowanie nowszej, a bardziej ulotnej literatury z tego zakresu.

Niewielu bowiem jest w publicystyce europejskiej autorów, którzy reprezentują tak poważną sumę przemyśleń, tak rozległą wiedzę o świecie i tak wysoką (czasem) miarę talentu. Zbyt wielka jest może pochopność tego umysłu do wyjaskrawiania konkluzyj gwoli jasności — z francuska grzeszy często Belloc nadmiarem abstrakcyjnej logiki. We wspomnianej książce (p. t. „*Survivals and New Arrivals*“, co możnaby przetłumaczyć: „O nieprzyjaciołach — ustępujących z placu i nowych“) — trudno np. zgodzić się z wywodem, że wszelki system powszechnego a świeckiego nauczania w państwie nieuchronnie kłócić się musi z etyką katolicką; że tak samo nie da się usprawiedliwić ze stanowiska katolickiego arbitraż przymusowy w sporach między pracodawcami a robotnikami. Ale książkę Belloca czytać należy nie poto, żeby się z nią zgadzać, lecz poto, żeby skorzystać z cennej sposobności obcowania z umysłem, zdolnym z taką energją objąć sferę najżywotniejszych dla dzisiejszej Europy zagadnień umysłowo-moralnych. Niewątpliwie też atrakcyjnie oddziaływa osobista postawa autora — jego niezachwiane przekonanie o metafizycznej prawdzie katolicyzmu, uwalniające od chęci widzenia rzeczy różowo, od skłonności do optymizmu w przeglądzie niebezpieczeństw ideowych.

Omawianą książkę Belloca należy więc traktować jako osobiste zwierzenia intelektualne. Mają one postać rozważań na temat światowej sytuacji katolicyzmu wobec antagonistycznych form i prądów kultury. Rewji sił kryzysu dokonywa Belloc ze stanowiska historyka. W każdej epoce inne prądy umysłowe, inne przypływy nastrojów uderzały o bastjon katolicyzmu. Nieprzyjaciół tych zaś w każdej epoce podzielić można na trzy kategorje: 1) goniących ostatkami sił, wyczerpanych w poprzednim okresie, 2) prowadzących główną ofensywę, aktualnie — najgroźniejszych i 3) występujących dopiero w pole i rosnących w siły.

Najsłabszy z niedobitków, któremu już trzy ćwierci do śmierci, szermuje przeciw katolicyzmowi biblją — ze stanowiska wykładni literalnej. Jednakże przez trzy stulecia był to najgłośniejszy i najbardziej niszczycielski w skutkach argument. On właśnie był zawołaniem bojowem świata protestanckiego. Dziś, poza odciętym umysłowo od reszty świata obszarem ciemnego protestantyzmu w Stanach Zjednoczonych, stracił zupełnie dawną hypnotyczną siłę. Gdzieindziej „bibljolatrję" zabił postęp nauk, zwłaszcza w krajach mowy angielskiej. Wyjaśnienia Belloca w sprawie stosunku Kościoła do biblji, skierowane przedewszystkiem do czytelników angielskich, z pożytkiem mogą być czytane także w Polsce.

Atak na Kościół w imię biblji ma jeszcze w Europie, pewne znaczenie, ale zdaniem Belloca, ze wszystkich „niedobitków“ z którymi nadal liczyć się wypada, ten już najmniej jest groźny. Większy posłuch znajdują jeszcze hasła klasycznego „materjalizmu“ XIX w., który zagadkę świata rozwiązywał w całości formułami chemji. Ale i to

już tylko „niedobitek". Odwróciła się od niego moda, ludzie wstydzą się dziś nazywać „materjalistami". Samo pojęcie „materji", dawniej uważane za proste i jasne, dziś w abstrakcyjnym języku współczesnej fizyki stało się niezrozumiałe dla przeciętnego inteligenta. Nastał zatem zmierzch tępego materjalizmu, prawdopodobnie jednak tylko czasowy: bo właśnie owa tępość odpowiada ograniczonym zmysłom człowieka. W pewnym wąskim zakresie materjalizm zawsze będzie poglądem racjonalnym; i pewno nigdy nie zabraknie poglądów symplistycznych, obwołujących półprawdę za całą prawdę.

Szczególnie interesujący dla czytelnika polskiego jest rys dziejów karjery następnego, stosunkowo żywotnego „niedobitka", mianowicie: poglądu, że nie może być prawdziwą religja, z którą narody zaznały nędzy i politycznego poniżenia. Jest to tak popularny, w w. XIX *ad oculos* demonstrowany argument „bogactwa i potęgi" narodów protestanckich. Tezę tę zabija już brak logiki wewnętrznej; ale siłę przekonywającą utraciła głównie dzięki obrotowi, jaki wzięły dzieje, wyprowadzając z powrotem na widownię Polskę, Włochy, Irlandję, przywracając potęgę Francji, a redukując znaczenie czołowych mocarstw protestanckich.

Żywotniejsze stosunkowo są poglądy, odmawiające racji historycznej pewnym uznanym przez Kościół doktrynom („argument historyczny"), bądź też całkowicie odmawiające mu charakteru nadprzyrodzonego („negacja naukowa"). Ostatni pogląd dominował w drugiej połowie XIX stulecia w Anglji, Francji, Niemczech i wyraził się w słynnej formule „konfliktu nauki z religją". Z tego stanowiska element nadprzyrodzony zostaje odrzucony *a priori*, wyniesione są natomiast do godności mistycznego „prawa" pewne, poznane w drodze doświadczenia następstwa zjawisk w świecie materji. Z punktu widzenia krytyki filozoficznej stanowisko to nieobronne; ale szerzeniu się ducha „naukowej negacji" sprzyjało oszołomienie postępem nauk przyrodniczych. Suggestja ta i nadal potężnie działa na opinję, tak, że ducha „naukowej negacji" zaliczyćby wypadało i dziś do „głównych przeciwników", gdyby nie to, że mimo tak znacznej jeszcze siły ujawnia on tendencję do słabnięcia. Dziś to, zdaniem Belloca, „przeżytek" epoki wczorajszej.

„Główna opozycja", czyli najniebezpieczniejsze dziś dla katolicyzmu w sferze ideowej zjawiska, to według Belloc'a: nacjonalizm, antyklerykalizm i moda myślenia „nowocześnie" („*the modern mind*").

Rozdział o nacjonalizmie, podobnie jak pod koniec książki drugi — o nowoczesnem pogaństwie, to zapewne w całości wywodów partje najciekawsze. Ale czytając przenikliwe i niejednokrotnie głębokie rozważania Belloca o nacjonalizmie (jako rzekomej herezji: bo zna Belloc także inne postaci nacjonalizmu) zdajemy sobie sprawę, że Polska, zwłaszcza w młodem pokoleniu, dla którego było to przed kilku laty zagadnienie wielce żywotne, przerobiła sprawę stosunku nacjonalizmu do religji gruntowniej, niż Anglja, gdzie wiatr tej dyskusji nie wtargnął do uniwersytetów.

Belloc, sam nacjonalista, aczkolwiek nie wyznawca nacjonalizmu — religji, uznaje naogół, że d o k t r y n a l n e j rozbieżności między katolicyzmem a nacjonalizmem niema; że nacjonalizm — podobnie jak te inne znamienne dla naszych czasów nastawienia ideowe: antyklerykalizm i moda myślenia „nowocześnie" (*the modern mind)* — nie jest dla mas żadnym katechizmem, ani wogóle sprecyzowanym systemem. W nacjonalizmie widzi natomiast ideę, uzdolniającą rzesze do takich porywów i poświęceń, taką mającą władzę nad duszami, jak dziś żadna inna w Europie.

I w tem podobieństwo nacjonalizmu do religji. „Ma on wszelkie znamiona religji. Nie religji w pełnem tego słowa znaczeniu, z rytuałem i doktryną etyczną; ale religji w sensie estetycznym: czegoś zagrzewającego serca, pobudzającego do poświęceń, niecącego święty ogień zapału. Religji—jako ducha oddania się i czci—czci tak żarliwej, że w jej imię ludzie poświęcą wszystko, co mają, co kochają — i życie samo — dla uwielbionej idei" (s. 139).

Ale dlaczego istnieć ma konflikt między katolicyzmem, a tą ideą? Oto ponieważ „w niczyjem sercu niema miejsca na dwie religje. Jedna wierność musi wziąć górę nad wiernością drugą. Religja zaś — czyli uznanie i uwielbienie prawdy ostatecznej, dla której wszystko inne winno być poświęcone — jest uczuciem miłości, która nie znosi rywala.

I niema wątpliwości, że dzisiaj nacjonalizm tę siłę religji posiada, i to religji, która niemal we wszystkich sercach idzie o lepsze z religją, zwaną katolicyzmem—a w większości wypadków prawdopodobnie bierze górę".

Jako opis stanu rzeczy w Europie współczesnej uwagi Belloca uderzają trafnością; ale ze stanowiska teorji stosunku nacjonalizmu do religji oczywiście nie mogą zadowolić. Bo gdy się wychodzi z założenia — a tak się ma rzecz w powyższem rozumowaniu Belloca — że nacjonalizm w swej rozpowszechnionej postaci nie ma nic zgoła doktrynalnie sprzecznego z religją, to dopóki ten błąd doktrynalny nie powstanie, trudno przecież zarzucać nacjonalizmowi to jedynie, że jest — zbyt wzniosły.

Sprowadza się to do żądania, by ludzie pomiarkowali się w szlachetności, ostudzili zapał, nie byli tacy gotowi do poświęceń. Niewyobrażalne jest w naszej cywilizacji, aby uczucia tego rodzaju same przez się mogły stać w sprzeczności z interesami religji, lub jej szkodzić. Zadaniem zaś polityki jest czuwać, aby czyny zrodzone z tak prawych uczuć, nie były nierozumne.

To też Belloc, dla udowodnienia tezy, porzucić musi jedną z głównych swoich przesłanek — mianowicie tę, że nacjonalizm, tak jak go dziś naogół widzimy w Europie, jest nastrojem, pasją, a nie prądem idei, jakoby doktrynalnie sprzecznym z katolicyzmem.

„Lecz istota niebezpieczeństwa" — czytamy (s. 141) — „jakie nacjonalizm przedstawia dla religji, tkwi w tem mianowicie, że naród poczytany jest za cel sam dla siebie. Gdzie to nastawienie (*mood*) weźmie górę, tam mamy już do czynienia z herezją w ściśle technicznem znaczeniu słowa, z fałszywą doktryną, z której, jak z zatrutego ziarna, zło dalej będzie wschodzić".

Powyższa niekonsekwencja odbiera rozważaniom Belloca wartość przyczynku do filozofji nacjonalizmu, ale cenne jest w nich zobrazowanie rzeczywistego stanu rzeczy:

„...ta herezja, według której naród jest celem sam dla siebie, krzewi się bujnie na obszarze kultury europejskiej, a znalazła dla siebie grunt także za oceanami, w Nowym Świecie. Jest w niej płomienność, która cechuje pierwsze stadja takich żywiołowych ruchów — ów młody rozpęd, z jakim Islam zerwał się do pierwszych ataków, z jakim

natarła *furioso* wczesna reformacja. Tylko ludzie tak się z tem zjawiskiem otrzaskali, że nie widzą jego niezwykłości“ (s. 141).

Aby ją uprzytomnić, Belloc podaje dwa przykłady życiowe. Oto agitator przemawia w Hyde Parku. Wolno mu bezkarnie ośmieszać religję — ale niechby tylko spróbował wyśmiewać bohaterstwo żołnierzy i karność wojskową — a wystąpienie smutnie skończyłoby się dla ryzykanta. „Jeśli nawet policja żywego wyrwie z rąk tłumu, Państwo tak ustosunkuje się do winnego, że na zawsze będzie pamiętał, gdzie ma granice tolerancja“ (s. 143). Niesłusznie chełpią się postępowcy, że nie prześladują opozycji, i głoszą nieracjonalne, nie wytrzymujące krytyki hasła bezwzględnej tolerancji, jakby nie było dla nich nic świętego. Owszem, świętość istnieje, tylko inny przedmiot nimbem jej otoczono.

„Podobnież, w chwili poważnego niebezpieczeństwa dla narodu, np. prawdziwie groźnej wojny, jednostki zmniejszające zdolność narodowego oporu potępianiem wojny, choćby uzasadnionem, zostają surowo ukarane. Zupełnie słusznie. Ale jeśli jakaś wątpliwość zostaje co do tego, która z dwuch religij góruje, wystarczy wskazać, że bezkarnie całkiem uchodzi potępianie chrześcijaństwa jako zła i działanie na korzyść jego wrogów“ (s. 143).

Przykłady te nie przekonywają. Z istoty religji wynika, że władztwa nad duszami nie może zdobyć ani zachować przymusem fizycznym, o który opiera się państwo, jako organizacja świecka i w dużej mierze — mechaniczna. Utrwalenie religji przez zastosowanie przymusu fizycznego niepożądane jest ze stanowiska samej religji. Z drugiej strony, jeśli napaści na religję budzą zgorszenie publiczne, państwo również wdaje się czasem w sprawę i winnym wymierza karę.

Nacjonalizm trzech ostatnich stuleci — twierdzi Belloc — zburzył lub conajmniej rozstroił, dawne pojęcie chrześcijaństwa jako ściślejszej społeczności narodów. Polityk podobnie dziś myśli o Japonji i o Włoszech — są to dla niego równorzędne jednostki w mechanicznym zbiorze oddzielnych, izolowanych narodów. Sytuacja tragiczna, gdyż zdaniem Belloca cała przyszłość naszej cywilizacji zależy właśnie od przetrwania tradycyjnej koncepcji społeczności narodów chrześcijańskich.

Trudno zupełnie odmówić słuszności temu twierdzeniu angielskiego pisarza — lecz czytelnik polski spostrzeże łatwo, że w ostatnim wypadku Belloc operuje specjalnem, nader wąskiem pojęciem nacjonalizmu. Wzrostem nacjonalizmu niepodobna tłumaczyć osłabienia wiary w Europie. Wywołały to inne przyczyny. Abstrakcyjny nacjonalizm może konstruować narody, jako jednostki oderwane, niczem z innemi nie związane. Konkretny istnieć nie może bez szerokiego oparcia o tradycję, o przeszłość narodu. Stąd nietylko przyjąć wypada utwierdzoną przez dzieje wspólnotę cywilizacyjną narodów europejskich, ale też uznać, stroniąc od mechanistycznego poglądu, że wśród narodów naturalne jest ciążenie ku bliskim cywilizacyjnie, choćby dalekim geograficznie towarzyszom. Czemże innem tłumaczyć należy np. sympatje polsko-włosko-francuskie? Jeśli zaś w pewnych wypadkach między bliskiemi cywilizacją narodami (jak np. Francja i Włochy) istnieć może antypatja, to łatwiej to tłumaczyć tem, że nacjonalizm widocznie niedość się tam pogłębił, niedość wykształcił—niż zwalać winę na jego przerost.

Lecz nawet rozstrój wspólnoty cywilizacyjnej narodów europejskich nie oznaczałby wprost konfliktu nacjonalizmu z katolicyzmem. Konflikty bezpośrednie wynikać mogą, zdaniem Belloca: 1) z uniwersalnego charakteru Kościoła. Jednakże dążenia odśrodkowe, znajdujące jakoby podnietę w nacjonalizmie, nie zaznaczyły się dotąd wydatniej w łonie Kościoła. Hasło secesji i tworzenia kościołów narodowych nie jest w naszej dobie popularne. 2) z aspiracyj państwa do monopolu w dziedzinie nauczania. Tu konflikt przybiera niejednokrotnie formy ostrzejsze — jak to niedawno np. widzieliśmy we Włoszech faszystowskich. — Pozatem źródłem zatargów jest okoliczność, że wszędzie w Europie, nawet w krajach katolickich, rządy, parlamentarne czy dyktatorskie, odnoszą się do katolicyzmu nieufnie lub wprost wrogo.

— Taki rysuje Belloc obraz sytuacji. Jakiż stawia horoskop na przyszłość?

I „nacjonalizm“ przeminie, jak wszystko co ludzkie. W dobie obecnej dwa czynniki osłabiają tę „wzniosłą religję“. Oba czynniki działają za pośrednictwem niższych instynktów ludzkich, oba mają charakter międzynarodowy. Pierwszym jest kapitalizm, drugim—komunizm. Rozkładowo działa silniej pierwszy, bo komunizm nie niszczy w tym stopniu separatyzmów narodowych. W sumie działanie obu sił skutek wywiera niemały. „Ale fala nacjonalizmu wespnie się jeszcze wyżej, nim zacznie opadać, — a wywoła ten przybór suggestja górnego ideału. Zupełnie inna w tym wypadku sytuacja, niż w stosunku do antyklerykalizmu etc. Ci wrogowie nie rozognią w niczyjej piersi entuzjazmu, siłą ich jest podlejsza natura człowieka, a postrachem — wszelkie wyższe porywy ducha. Tymczasem nacjonalizm nawskroś przeniknięty jest ideą poświęcenia. W tem piękno, i w tem niebezpieczeństwo“. (s. 156—7).

Dla lepszego objaśnienia tego horoskopu dodajmy jedno. „Pojęcie nacjonalizmu“, którem tu operuje Belloc, z następującego jeszcze względu jest szczególnie ciasne. Nacjonalizm, tak jak go rozumie autor cytowanej książki, nie jest to ów, zawsze konieczny, przejaw narodowego życia, ów wyraz podstawowej solidarności moralnej jednostki z narodem, o którym przedewszystkiem myśli czytelnik polski używając tego terminu. Jest to dla Belloc'a wytwór późny, zjawisko, jakie dały nam poznać dopiero dzieje nowożytnej Europy. Nic dziwnego, przy tem pojmowaniu, że określając datę narodzin tworu, autor łatwo uprzytomnia sobie jego śmiertelność, i przepowiada, w obliczalnej przyszłości — koniec. Należy sobie zdawać sprawę, że rozważania takie, nawet w pojęciu Belloca, nie mają nic wspólnego z zagadnieniem samej trwałości siły uczucia narodowego i narodów, jako najistotniejszej dziś postaci bytu zbiorowego.

Wartością niewątpliwą książki Belloca jest, że uwydatnia ona wspólnotę problemów, przed któremi, w dobie kryzysu ich cywilizacji, stawia narody europejskie — religja powszechna. Ale nie wszystkie w dyskusji problemów, w zasadzie wspólnych, postąpiły jednakowo daleko. W szczególności Polska, jak to zaznaczyliśmy wyżej, głębiej, być może, przemyślała zagadnienie nacjonalizmu od Anglji. Szereg rzekomych trudności w stosunku nacjonalizmu do religji, poważnych dla pisarza angielskiego, w Polsce wogóle już dziś dla światłej opinji nie istnieje.

WITOLD CHWALEWIK

NA MARGINESIE PEWNEGO LISTU

POZNAŃ nie ma szczęścia do literackich czasopism. Tradycja dawnych zanikła bez śladu, a nowe, mimo powstania Uniwersytetu i reorganizacji Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie powstały.

Po wojnie zrodził się tu zamiar stworzenia czasopisma o charakterze, zbliżonym do dawnych, z przed lat blisko stu. Zebrano artykuły, znaleźli się korespondenci. Niestety, brakło mecenasa, choć były wtedy możliwości finansowe popierania podobnej imprezy. I inne próby, niekiedy z inicjatywy studentów polonistów, zawodziły.

Ostatnio ukazał się w Poznaniu „Dwutygodnik literacki“ jako nakład „Promethidionu“ i „Klubu poetów“. Czem będzie to nowe czasopismo, trudno sądzić z pierwszego numeru. Otwiera je „List pasterski“ datowany z Klechistanu a podpisany przez „Emilencję“ czyli znanego i bardzo utalentowanego poetę Zegadłowicza.

Zegadłowicz jest niewątpliwie autorytetem. Stworzył go sobie zdumiewającą płodnością, bogatą treścią wewnętrzną, rozległą kulturą literacką, co razem mogło uczynić zeń element, promieniujący inicjatywą na gruncie jej bardzo potrzebującym. Przed laty piszący te słowa zaproponował mu utworzenie, na podobieństwo dawnego lwowskiego, związku naukowo-literackiego, co niewątpliwie wywołałaby dyskusję na różne żywotne tematy, dałoby podstawę do stworzenia może czasopisma, kupiącego wszystkie siły miasta i prowincji.

Niestety zajmowały Zegadłowicza kolejno różne inne sprawy i nie mógł on nigdy znaleźć czasu na realizację czegoś, co jego autorytet a także promieniowanie sztuki i nauki na tutejszym gruncie utrwaliłoby niezaprzeczenie. A tymczasem rozbicie rosło na tle w całej zresztą Polsce znanem i dziś ludzie umieją tylko plotkować na siebie po kawiarniach, lub wyszydzać się w szopkach w sposób najbrutalniejszy. Widziałem przed laty dwoma taką szopkę, gdzie Zegadłowicz potraktowany był, prócz wielu innych, w sposób najbardziej prostacki.

Jego obecne wystąpienie może być powodem do ataków. Poeta uważa słusznie obecny okres za przełomowy i sądzi, że inicjatorowie czasopisma chcą dać wyraz pod ziemią huczącym niecierpliwie grzmotom. Boi się jednak, że obrali oni „miejsce niemrawe i grząskie“, „straszne okopy obłudy, pychy i zacofania“, „rezerwat siedmnastowieczny“. Oznaczać to ma dzisiejszy Poznań, a nowa poezja nie może być przecież tylko kunsztmistrzostwem ale eksplozją, odkryciem, walką i zdobyczą, nowym światem i nowym człowiekiem.

Niewątpliwie Poznań ma liczne braki. Ale też jest to zjawisko ogólne. Ani dzisiejsza Warszawa nie dorównywa dawnej choćby za dni pozytywizmu, ani Wilno nie dochodzi, do wyżyn epoki filomatyzmu. Ale przecież ci, co przybyli do Poznania mogli dokonać wiele. Sam poeta, redaktor „Tęczy“, tkwił dobrowolnie w okopach, które dziś potępia. Otaczał go Poznań niekłamanym kultem, czytał jego poezje, grał jego sztuki. On sam rozwinął się tu niepoślednio, a ostatni jego zbiór utworów góruje zwięzłością i głębią nad poprzedniemi.

Czy więc należało ironizować miasto i sfery, które dały poecie nawet materjalne warunki lepsze od jakichkolwiek gdzieindziej? Zegadłowicz powołuje się na cienie Berwińskiego, Kasprowicza, Przybyszewskiego, którzy tu podobno nie wytrzymali. Wolne żarty, skoro przecież wymienieni poeci szukali i szukać musieli środowisk, które ich temperamentowi, dążeniom, horyzontowi odpowiadały!

Berwiński, jako legjonista, nie czuł się dobrze nawet w Polsce, skoro wywędrował do Francji. Przybyszewski, jako objawiciel nowej sztuki modernistycznej, mógł czuć się „swojo“ tylko w wielkiem środowisku berlińskiem. I tam nie zdobył zbyt wielkiej sławy, skoro niezrównany dzisiejszy esteta i historyk literatury Watzel nie poświęca mu ani wiersza w swym obrazie współczesnej literatury niemieckiej. Zapomnieli o nim Niemcy, choć po niemiecku pisał rzeczy lepsze, niż po polsku, i tam się właściwie już wypowiedział, nim przybył do Krakowa. W Poznaniu, walczącym ostatnim wysiłkiem o byt z przewagą niemiecką, byłby raczej szkodliwym.

Co do Kasprowicza, wyjechał on do Lwowa, gdyż w Poznaniu było miejsce przedewszystkiem dla działaczy politycznych, społecznych, oświatowych, a poezja była tam wtedy zbytkiem. Tęsknił do Wielkopolski i pragnął wrócić do Poznania, gdy uniwersytet powołał go na katedrę literatury porównawczej, Nie przybył, gdyż zatrzymał go Lwów obietnicami, których zresztą nie wypełnił. Czy Poznań winien, że nie dano mu, za dni niewoli, uniwersytetu, że zabijano tu wszelki wysiłek naukowy. Kto potępia Poznań z czasów młodości Kasprowicza, okazuje uznanie dla polityki niemieckiej, która nie chciała, by po dniach Libelta, Cieszkowskiego, Moraczewskiego stał się on drugiem Wilnem dla Polski.

A już potępienie religijności Poznania i sfer kościelnych przez Zegadłowicza razi niezwykle, gdy się przypomni, że te właśnie stanowiły doniedawna wraz z kilku lekarzami i adwokatami elitę Poznania: Wawrzyniaków, Warmińskich, Zimmermanów i innych. Jak wszędzie, tak i w Poznaniu są różni księża. Są interesowni, i są ofiarni, są więcej lub mniej oświeceni. Ale naukowców było i jest wśród nich wielu, skoro kilku poszło już wykładać na wydziałach teologicznych Warszawy, Krakowa, Lwowa, by przypomnieć choćby Likowskiego i Klawka.

A mogę zapewnić Zegadłowicza, że ich oddanie nauce nie nosi żadnych cech materjalizmu czy groszoróbstwa. Więc można mniemać, że kler tutejszy stoi nawet wyżej, zwłaszcza instynktem społecznym od małopolskiego, a takie postacie, jak Stychel i inni upamiętnią się nazawsze w historji walki z najeźdźcą. Ubolewa Zegadłowicz nad postawieniem pomnika wdzięczności Sercu Jezusowemu, a zapomnieniem o bezrobotnych.

Sądzę, że lepiej stawiać pomniki Bogu, niż ludziom, zwłaszcza za ich życia, nim historja oceniła w pełni ich działalność. A już zgoła mija się poeta z prawdą, gdy mówi, że zapomniano o bezrobotnych.

Przeciwnie. Usilna i wytrwała akcja czynników obywatelskich złagodziła niezmiernie dolę ludzi, opuszczonych przez państwo. Ucichły ich narzekania, a nawet groźby, bo niema w Poznaniu zamożniejszego człowieka, który nie poszedłby za nawoływaniem prasy i duchowieństwa.

Tak więc wystąpienie Zegadłowicza jest objawem przykrym i bolesnym. Mógł sobie na nie pozwolić mały człowiek. Poeta tej miary popełnił błąd, z którego skorzystają Niemcy, Żydzi, i te żywioły, z któremi on nie miał chyba dotąd nic wspólnego. A szkoda, bo nikogo Poznań tak nie przyjął i nie hołubił, jak małopolskiego liryka o tendencjach bliskich Kasprowiczowi.

Jeżeli Poznań — jeden w Polsce — umożliwił dźwignięcie mauzoleum na Harendzie swą dotad nieustającą ofiarnością, to żywemu poecie okazałby i w przyszłości z pewnością więcej serca, niż inne dzielnice. Zegadłowicz duszy Poznania nie wyczuł.

Poznań. TADEUSZ GRABOWSKI

ZAGADNIENIE WŁASNOŚCI

(Z POWODU ENCYKLIKI OJCA ŚW. PIUSA XI „QUADRAGESIMO ANNO“)

JESIENIĄ tego roku ukazało się w pismach orędzie J. Em. ks. prymasa Augustyna Hlonda do djecezjan, tyczące obecnego przesilenia gospodarczego oraz obowiązku niesienia pomocy biednym, z zwłaszcza bezrobotnym. Książę Kościoła w piśmie tem zwraca uwagę, że koniec kryzysu jest jeszcze daleki, a najważniejszym środkiem zaradczym jest danie pracy rzeszom bezrobotnym, których nędza i przymusowa bezczynność staje się klęską całego społeczeństwa, wzywa przeto nietylko do aktu miłosierdzia, ale i do naprawy zła u podstaw. Dowodem na to są również przytaczane w temże orędziu ustępy tegorocznej Encykliki Ojca Św. o sprawie społecznej i gorące wezwanie do społeczeństwa, aby zapoznawało się z jej treścią, stanowiącą podstawę dla postępu społecznego, realnie i po chrześcijańsku pomyślanego i przeprowadzonego.

Zapoznanie się z zasadniczą treścią Encykliki „*Quadragesimo Anno*”, napisanej, jak wiadomo, na 40-tą rocznicę wydania głośnej Encykliki Leona XIII „*Rerum Novarum*”, jest istotnie w czasach obecnych obowiązkiem chrześcijanina, pragnącego zapanowania zasad religijnych i chrześcijańskiego ducha nietylko w duszach pojedyńczych ludzi, lecz w życiu zbiorowem narodów.

J. Em. Ks. Prymas słusznie mówi w swem orędziu o zaniedbaniu kultury ducha w obecnych czasach. W rzeczy samej trudno byłoby znaleźć taką epokę dziejów, kiedyby wszyscy głodni byli nakarmieni, kiedy nie było nieszczęśliwych i pokrzywdzonych, a struktura polityczna, czy społeczna świata nie pozostawiała nic do życzenia. Zastanawiając się nad tem, dochodzi się nawet do wniosku, iż nasze czasy pod tym względem do najgorszych nie należą: owszem, uczucia humanitarne odzywały się głośniej i częściej praktyczny znajdowały wyraz, aniżeli w niejednym innym okresie historji. A przecież w życiu naszem społecznem i gospodarczem przejawia się głęboki materjalizm i nigdy bogaci nie byli mniej przysposobieni do szlachetnego użycia swych środków, nigdy ubodzy nie grzęźli w głębszem barbarzyństwie ducha! Trudno w tem miejscu pominąć wskazania na pewien tragiczny paradoks życia społecznego.

Jest ono całością, z której niczego nie można wyłączyć, jest ciągłym rozwojem różnych dążeń ludzkich, z których żadnego nie można bez szkody odrzucić ani zahamować. Niema bowiem większej szkody dla społeczeństwa, jak urwanie nici tradycji i rozwoju w którejkolwiek dziedzinie życia. Nie można np., chcąc polepszyć materjalny stan mas ludności, wstrzymać rozwój kulturalny czy polityczny jako mniej pilny. Zawsze tak było, iż na gruncie materjalnego uprzywilejowania jednych rozkwitały sztuki i nauki oraz bujne życie polityczne i gospodarcze, podczas kiedy obok drudzy żyli nieraz w ciężkiem materjalnem, a nawet moralnem upośledzeniu. Podobnie, rozkwitało już niejednokrotnie największe wyrafinowanie estetyczne, podczas gdy z braku pierwotnych pojęć o hygjenie i leczeniu szerzyły się choroby i klęski zarazy — i to nietylko wśród ubogich. Życie duchowe, wysiłek kulturalny społeczeństwa jest celem jego najwyższym, a nierównomierność przy jednoczesności rozwoju różnych dziedzin życia jest paradoksem, jak dotąd, nieuniknionym. Chodzi jednak o to, ażeby, przynajmniej w wielkich linjach, uprzywilejowanie materjalne niektórych swój cel społeczno-kulturalny i polityczny istotnie osiągało. Niema wątpliwości, iż w naszych czasach tylko pogłębienie kultury katolickiej tak indywidualnej, jak społecznej pozwoli nam podnieść życie społeczne warstw wszystkich na wyższy poziom duchowy. To przeświadczenie kierowało z pewnością piórem obu papieży, zajmujących się tak gorliwie sprawą społeczną w epoce, kiedy zdobycze techniki pozwoliłby powinny na pomyślniejsze dla ogółu jej rozwiązanie, niż w dawniejszych okresach rozwoju.

W niedługim artykule niema mowy o wyczerpaniu treści Encykliki „*Quadragesimo Anno*”. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na kilka najważniejszych ustępów dla uprzytomnienia czytelnikowi jasności i ścisłości myślenia, jaka w nich rozbłyska.

Ojciec Św. stwierdza na wstępie, iż Kościołowi przysługuje prawo i obowiązek obwieszczania całokształtu prawa moralnego (str. 26) ponieważ „jedno jest prawo moralne, które nakłada na nas obowiązek, abyśmy we wszystkich poczynaniach naszych do najwyższego i ostatecznego dążyli celu” [1]).

Przystępując do zagadnienia własności prywatnej, Pius XI przypomina słowa Leona XIII, wykazujące „że zniesienie własności prywatnej nie wyjdzie na korzyść warstwie robotniczej, lecz na ostateczną jej zgubę” [2]), następnie zaś przechodzi do zasadniczego omówienia celu i celem tym określonego charakteru własności:

Własność prywatna posiada podwójny charakter: indywidualny i społeczny i służyć ma „na pożytek z jednej strony jednostek i ich rodzin, z drugiej zaś strony, aby za pomocą tej instytucji owe dobra materjalne, które Stwórca dla całej rodziny ludzkiej przeznaczył, temu celowi rzeczywiście służyły. Wszystkie te cele można osiągnąć

[1]) Ustępy z Encykliki przytoczone są według przekładu J. E. Ks. Bisk. Okoniewskiego.

[2]) „*Quadrag. Anno*“ str. 28.

jedynie przestrzeganiem pewnego i określonego porządku”.

„Dwóch zatem skrajności, w które można popaść, należy pilnie unikać. Jak bowiem zaprzeczaniem, lub zbytniem osłabianiem społecznego i publicznego charakteru prawa własności wpada się z konieczności w t. zw. indywidualizm, albo zbliża się do niego, tak odrzuceniem lub wyjałowieniem prywatnego i indywidualnego charakteru tego prawa dojdzie się niechybnie do kolektywizmu lub przynajmniej do podobnych mu teoryj. Jeśli się o tem, nie pamięta, popadnie się na pochyłą drogę i osiądzie wkońcu na mieliźnie moralnego, prawnego i społecznego modernizmu, na który w Encyklice Swej na początku Pontyfikatu Naszego wskazaliśmy [3]). Niech pamiętają o tem przedewszystkiem ci, którzy żądni nowości mają czoło obelżywego oskarżania Kościoła, jakoby zezwolił na wdarcie się do nauki teologów pogańskiego pojęcia własności, które należy zastąpić innem, przez nich, z dziwną nieznajomością rzeczy, zwanem chrześcijańskiem.

„Ażeby sporom, które się około własności i obowiązków z nią związanych rozpętały, wyraźnie wytknąć granice, trzeba naprzód jako podwalinę podkreślić zasadę Leona XIII, że prawo posiadania różni się od prawa używania. Owa sprawiedliwość, która się zowie zamienną, nakazuje zachowywać ściśle podział dóbr i nie wdzierać się prawa cudze, przekraczając granicę własnego posiadania: uczciwe zaś korzystanie z własności przez jej właścicieli nie należy do wspomnianej sprawiedliwości, lecz do zakresu innych cnót, „których spełnienia nie można dochodzić na drodze prawnej” [4]). Niesłusznie zatem głoszą niektórzy, że własność i godziwe jej używanie w tych samych zamykają się granicach. Daleko więcej jeszcze mija się z prawdą, kto twierdzi, że wskutek nadużycia lub nieużycia prawo własności upada i wygasa.

„Jako więc zbożnej i nader chwalebnej poświęcają się sprawie ci, którzy, bez wzniecania niezgody i skażenia nauki, głoszonej zawsze przez Kościół, usiłują określić najtajniejszą istotę i granice tych obowiązków, któremi ujęte jest samo prawo własności i używanie jej, czy wykonywanie posiadania, tak mylą się i błądzą ci, którzy indywidualny charakter własności tak osłabiają, że go w rzeczy samej znoszą”.

Powyższe dobitne ujęcie rzeczy komentarzy nie potrzebuje. Podkreślić tylko wypada, co ze słów Ojca Św. wynika jasno, że Kościół tak dalece uważa własność prywatną za podstawę życia społecznego, wynikającą z duchowo - fizycznego charakteru istoty ludzkiej, że zupełnie uniezależnia jej uprawnienia od nieuniknionych spaczeń, wynikających z przywar osobistych dzierżycieli własności. Takie stanowisko jest zupełnie logiczne, skoro instytucja prawna od przypadkowości indywidualnych zależeć nie może, a powtarza się ono w poglądzie Kościoła na władzę państwową, a nawet na autorytet władzy duchownej, której prawa zasadniczo nie doznają uszczerbku wskutek ludzkich słabości i przywar tych, którzy ją dzierżą.

Podwójny charakter własności, tak dobitnie wyrażony przez Ojca Św., wynika również z samego pojęcia prawnego własności. Państwo, jako instytucja prawna, nietylko powstało z prywatnej własności, lecz celem najpierwszym Państwa było i jest gwarantowanie własności prywatnej i wszelkich z niej wynikających czynności prawnych. Stosunek własności prywatnej i państwa polega na wzajemności. Prywatna własność jest chronologicznie i logicznie starszą od Państwa (według wyrażenia użytego w *Rerum Novarum* o rodzinie) i skutkiem tego stanowi główną treść prawnego porządku, który państwem nazywamy: bez niej Państwo (w europejskiem znaczeniu najwyższej instytucji prawnej) nie istnieje; z drugiej strony porządek prawny, zwany Państwem, nadaje sankcję i gwarancję własności, czynią, z prostego faktu posiadania instytucję własności prywatnej, przez autorytet społeczny uznaną i zabezpieczoną, a więc dopiero Państwo czyni z własności—„Własność” w pełnem słowa znaczeniu. Gdzie zatem niema Państwa, tam niema instytucji własności. Z tego wzajemnego stosunku wynika dalej, że jak Państwo nie może znieść własności, tak własność nie może ignorować Państwa i winna mu jest świadczenia w granicach określonych przyrodzonym celem, charakterem prawnym i samem istnieniem ekonomicznem prywatnej własności. To też zastanawiać musi barbarzyństwo naszych czasów, gdzie tak często nie rozumie się i nie docenia ogromnego duchowego postępu człowieka, wielkiego wysiłku ku wyższem formom życia, wyrażającego się w porządku prawnym, a więc przedewszystkiem także we własności prywatnej. Nic też dziwnego, że Kościół poczuwa się do prawa i obowiązku wskazywania wiernym właściwego pojmowania tego zagadnienia.

Pod koniec ustępów Encykliki, omawiających zagadnienie własności, Ojciec Św. mówi właśnie o stosunku Państwa do tej instytucji, przyznając Państwu prawo i obowiązek bliższego określenia świadczeń własności prywatnej na rzecz dobra powszechnego i prawo bliższego określania jej form i uprawnień i pisze następnie: „Oczywistą jest rzeczą, że państwu nie wolno postępować według swego widzimisię. Przyrodzone bowiem prawo do własności prywatnej i do przekazywania jej w spadku winno zawsze pozostać nietknięte i nienaruszone, ponieważ państwo usunąć go nie może. „Człowiek bowiem starszy jest niźli Państwo” [5]), a również społeczność domowa jest logicznie i faktycznie wcześniejszą, niż państwo [6]). Dlatego mądry bardzo Papież już oświadczył, że nie wolno Państwu wyniszczać majątków prywatnych nadmierną ilością świadczeń i podatków. „Władza Państwa bowiem nie może niszczyć prawa własności prywatnej, bo natura jest jego źródłem, nie wola ludzka; może tylko jego używanie ograniczać i do dobra ogółu dostosowywać“ [7]).

Na początku zaś następującej części Encykliki, omawiającej stosunek kapitału i pracy, Pius XI, mówiąc o bogactwach naturalnych, stanowiących materjał pracy ludzkiej, powiada: „Prawo natury, raczej wola Boża w niem się objawiająca, domaga się jednak, aby w korzystaniu z tych naturalnych zasobów na pożytek ludzki właściwy zachowano porządek. A porządek ten na tem polega, że każda rzecz ma swego właściciela“.

ZOFJA ŻÓŁTOWSKA-DĄBROWSKA

---

[3]) Enc. „*Ubi Arcano*“ dn. 23.XII.1922.
[4]) Cytat z Enc. „*Rerum Novarum*“.
[5]) Enc. „*Rerum Novarum*“ n. 6.
[6]) „*Rerum Novarum*“ n. 10.
[7]) „*Rerum Novarum*“ n. 35.

POEZJA RADOŚCI DOSKONAŁEJ

(OD ŚW. FRANCISZKA DO CHESTERTONA)

WEDŁUG podania, koniec świata nie zdarzył się w wiekach średnich i został przez Boga odłożony tylko dlatego, że na zepsutym świecie znalazł się człowiek, zdolny iść śladami Zbawiciela od Kany Galilejskiej do Golgoty. Był nim św. Franciszek z Assyżu.

Jest oryginalnością tego świętego, że na szczytach uduchowienia dostrzega i uwyraźnia cnoty łatwe, powszednie, niemal świeckie: grzeczność i dyskrecję.

Grzeczność nazywa „siostrą miłosierdzia". Mawia, że Pan Bóg żywi złych obok dobrych przez grzeczność. Dyskrecję znać u niego nawet w czynieniu cudów: niepostrzeżenie przywracał trędowatym zdrowie, a z dusz spłukiwał wściekliznę rozpaczy niepostrzenie, jakgdyby czyniąc przyjacielską usługę.

Odpłacały mu za to niższe twory, — zwierzęta, — zaiste — pięknem za nadobne. Sokół, sąsiad w pustelni, co rano budził go na Mszę. Ale gdy święty bywał chory, sokół, przyjaciel wyrozumiały, zjawiał się trochę później.

Gdybyśmy Ewangelję wyobrazili sobie jako las, to słynne „Kwiatki" franciszkańskie kwitłyby tam z przylaszczkami. One jedyne, oprócz Ewangelji, umieją mówić o radości doskonałej, o tej dziwnej radości, której nie daje ani mądrość świata, ani nawet owocne apostolstwo. Gdzie zatem się znajduje? Oto jej adres:

„Gdyby nas, — mówi święty do równie zdrożonego, jak on sam, braciszka, — niepoznano w klasztorze i dano po karkach, a my w płaczu i prośbach nie stracilibyśmy pogody ducha przez pamięć o Męce Pańskiej — zapisz, mój bracie, że to byłaby r a d o ś ć d o s k o n a ł a... Bo ponad wszystkiemi łaskami stoi pokonywanie siebie... Z żadnych darów Bożych nie możemy się chlubić, gdyż nie są nasze, lecz Boże. Ale krzyżem boleści można się chlubić bo nasz jest".

A więc radość doskonałą uczuwa się płacząc; uczuwa się, gdy ciało drży, a instynkt samozachowawczy wyje. Bo, zważmy, chrześcijanin nie jest fakirem, nie znieczula ciała, lecz tylko jego potrzebom przeciwstawia potrzeby ducha. Więc chociaż ciało skowyta jak zgłodniały psiak, możemy czuć tembardziej r a d o ś ć d o s k o n a ł ą. Jej przeciwieństwem jest s m u t e k doskonały, zaznaczający swą robaczywą obecność przy najweselszem uprawianiu grzechu.

Św. Franciszek, trubadur miłości Bożej, ubrał przypowieść o radości doskonałej prawie w kształt ballady, o strofach coraz mocniejszych, przedzielonych refrenem, którego jednostajność uwydatnia przez kontrast nasilanie strof. Rzecz kończy się jak w regularnej balladzie „przesłaniem", nazywającem krzyż jedyną ludzką własnością naprawdę.

Oczywiście, sam autor o formę tu nie dba. Była mu ona przydana niby ewangieliczna „reszta" za to, że się bez reszty całopalił Bogu.

*

W „Fauście" św. Franciszek jest przedstawiony jako *Pater Seraphicus*, wcielający w siebie gromadkę zbawionych dzieci. Symbol bardzo trafny, bo ta odrębna, nawskroś swoista indywidualność stała się przecież postacią zbiorową. Rozczepiła się, jak promień słońca na barwy zasadnicze, w mnóstwie następców. Dla św. Franciszka nic nie było trudne: monstra dwugarbne bogactwem i sobkowstwem przewlekał gładko przez ucho igielne dobrowolnego ubóstwa. W dziesięć lat zebrał pięć tysięcy uczniów gołemi, jeszcze nie stygmatyzowanemi, rękami, on, biedaczyna, według słów Chestertona pożerający posty, jak inni żrą jadło.

W pierwotnych kapitułach franciszkańskich są takie gwiazdy, jak św. Idzi, św. Bonawentura, św. Antoni Padewski. Lecz Franciszkanizm nie byłby w pełni franciszkański, gdyby mu zbrakło brata Jałowca, tej szekspirowskiej przed Szekspirem postaci, posiadającej rubaszność nierubaszną i archanielską jakąś tężyznę.

Brat Jałowiec ma humor Zagłoby, a instynkty tak prawe, tak wyzbyte „fortelów", że djabeł, ojciec kłamstwa i wszelkiej sofistyki, bał się go więcej, niż samego św. Franciszka, który też co upartsze czarty przynaglał do ucieczki postrachem Jałowca.

Ten ascetyczny Falstaff bywał niewyczerpany w podstępach, gdy szło o dobroczynność. Rozwijał wówczas w sobie jakąś talmudyczność na opak. Kiedy mu zabroniono oddawać biednym swój własny przyodziewek, on zaś nanowo wrócił do klasztoru półnagi, — pokazało się, że wprawdzie sam Jałowiec nikomu swego habitu nie oddał, ale ktoś przecie bez pozwolenia, chociaż i bez rabunku, z niego habit zdjął, usłyszawszy rzuconą półgębkiem obietnicę, iż o tę „przemoc" nikt nie zrobi gwałtu.

Postać Jałowca przywodzi na myśl słowa Zbawiciela: Jeśli się nie staniecie jako dzieci, nie wnijdziecie do królestwa niebieskiego. Prostoduszność tego „braciszka wszystkich stworzeń Bożych" wygląda aż paradoksalnie na pozór, i byłaby paradoksalna, gdyby ją wymyślił normalny literat. Lecz ta cudaczność zanika cudem genjuszu chrześcijańskiego i, zachowując cechy dziwactwa, przezwycięża je, skłaniając nas nie do drwin, lecz do zachwytu.

Bo w gruncie rzeczy Jałowiec prościej i lepiej wnikał w życie, niźli tak zwane umysły zrównoważone. Skarcony bezpodstawnie przez przełożonego, ani się nie obraził, ani się nie rozgniewał, ale mu przyniósł talerz kleiku dla przepłókania zerwanego gardła. Coprawda dostało mu się za to nowe tęgie wcieranie, aliści wnet, rozbrojony mądrą prostotą Jałowca, zjadł z nim razem owsiankę, przyniesioną nie w porę, — i „pokrzepili się lepiej pobożnością, niż pokarmem".

Postępowanie całkiem w stylu Chestertona, figiel arcychrześcijański, mądrością podszyty. Znakomity Anglik, który w swej książce o św. Franciszku rzekł, iż „radość jest wielką tajemnicą chrześcijaństwa", ma bardzo dużo wspólnego z Jałowcem, franciszkańskiem uosobieniem tej radości. Obaj posiadają ten sam zdrowy humor, który u Chestertona przeziera z pod poloru kultury XX-go wieku. Z obu też świetni egzorcyści, bo nowoczesny demonizm unika dyskusji z Chestertonem, jak czarty średniowieczne — modlitwy Jałowca.

Wzmianki o demonizmie nie wywołują uśmiechu politowania dzisiaj, kiedy okultyzm zakłada akademje na obu półkulach, medycyna ulega inwazji Tybetańskiej, wróżbiarstwo się zaleca we wszystkich dziennikach, medja rywalizują w rozgłosie z gwiazdorami, odrodzony satanizm bije rekordy sensacji, a rozdwojenie osobowości łudząco przypomina przestarzałe opętanie. Słusznie więc mówi Chesterton, że w naszych czasach bywamy świadkami zdarzeń nie mniej dziwnych, niż opowieść ewangieliczna o wypędzenie przez Zbawiciela djabłów z ludzi w wieprze. „Z tej opowieści usunęliśmy dziś tylko Zbawiciela, — djabły i wieprze zostały".

*

Pogoń za radością doskonałą ma swoją romantyczność osobliwą. Jej heroiny uciekają od ziemskiego szczęścia w okolicznościach, w jakich romantyczki pospolite zazwyczaj uciekały—po szczęście. Dzieje trubadura miłości Bożej (tak godzi się nazywać św. Franciszka) główną rolę kobiecą oddały św. Klarze w boskiej komedji przed-dantejskiej, którą całem życiem komponował.

Pobożność bywa zaraźliwa, jak grzech. Śladami św. Klary poszła jej siostra, Agnieszka. Gdy się włamano z żołnierzami do klasztoru, aby ją stamtąd zabrać, musiano zbiegłą wlec za włosy na zamążpójście, odpowiednie rodowi. Nagle podniosła się św. Klara, kopnięciem buta przedtem odepchnięta w kąt. Ciało Agnieszki stało się tak ciężkie, że kilkunastu chłopa nie mogło go udźwignąć. „A wkrótce po tem, — (świadczy kronikarz Celano) — św. Franciszek postrzygł Agnieszce przy obłóczynach tę resztkę włosów, jakiej jej jeszcze nie wyrwano".

Zjawiska nadprzyrodzone są w piśmiennictwie franciszkańskiem przedstawione z taką prawdą, iż nawet część krytyki niekatolickiej (np. Sabatier) uznaje, że „przeczyć takim objawieniom i widzeniom byłoby większym błędem, niż uznać ich rzeczywistość".

Istnieje pozatem w dziejach franciszkańskich wielka ilość cudów bezspornych, popartych świadectwami inowierczemi, wobec których człowieka nowoczesnego ogarnia niedowierzanie i lęk. Ten stan psychiczny ujął dokładnie Joergensen, pisząc że: „my chrześcijanie dzisiejsi... przestrzegamy zaledwie zasad głównych w religji, zasad, które znali i stosowali także i co cnotliwsi poganie. Lecz wyjścia na szczyty chrześcijaństwa unikamy, uważając to za rzecz dostępną dla ludzi, których rodzaj już dziś zaginął".

*

Święty Franciszek wzbudza wiele uznania wśród protestantów, a nawet wśród bezwyznaniowców. Podziwiając w tym świętym poezję czynów i słów, gorliwie rozluźniają oni spoidła między nim, a jego apostolską macierzą, kościołem katolickim. Tendencjom tym dał Joergensen odprawę, wykazując podobieństwa zasadnicze między św. Franciszkiem a św. Benedyktem oraz św. Ignacym Loyolą, „najklerykalniejszym" wśród błogosławionych. „Każdy z nich — stwierdza Joergensen — jest przedewszystkiem ascetą, pilnym w umartwieniu ciała, by je utrzymać we władaniu ducha. Dlatego też radość franciszkańska znajduje się i u Benedyktynów i u Jezuitów". Można więc dodać, że jest to radość katolicka.

A tem większy w niej cud, że udzielana bywa nie tylko świętym, lecz i zwyczajnym wiernym, jako odtrutka na jad smutku, przesyt i wstręt do życia, choroby naszych czasów. Klucz do tej odtrutki katolik ma zawsze pod ręką. Joergensen, *ex*-protestant, oceniał to z większą świeżością, niż wielu z nas, w katolicyźmie urodzonych, gdy powiedział: „Na każdem miejscu, gdzie schylę się do stóp kapłana katolickiego, zawsze znajdę przyjaciela i przewodnika... Sprawdza się wtedy obietnica Jezusa, dotycząca pokoju: „Pokój mój daję wam, i n n y pokój wam daję, niźli wam dawa świat".

*

Piśmiennictwo franciszkańskie postawiło rycerza krzyżowego obok zakonnika, sługi pokoju, gdy św. Ludwik, wódz krucjat, odwiedził pokornego św. Idziego. Obaj klękli przed sobą, wzięli się w ramiona, ale nie powiedzieli ani słowa do siebie. Kiedy gromiono za to św. Idziego, ten odparł: „Patrząc sobie w serca, porozumieliśmy się lepiej, niż ustami". Oto ideał rozmowy! Bo język jest narzędziem zbyt grubem do wyrażania wzniosłych stanów ducha.

*

Św. Franciszek ścigał grzech od podstaw. Kazał sobie deptać po ustach, choć słowo grzeszne jeszcze z nich nie wyszło, ale zaledwie przemknęło przez myśl. Taką pokorą karczował w sobie same zarodki grzechu. U wielu innych świętych takie karczowanie podstaw zła, taka — nieomal — d e z y n f e k c j a m o r a l n a jest znakiem ich hygjeny duchowej.

Nasza świecka hygjena religijno-moralna wygląda wobec tamtej na ćwiczenia dyletanta wobec treningu rekordzisty o światowym rozgłosie. Lecz święci są rekordzistami ponad światowymi. Wyczynami swojemi zdystansowali gracza nad gracze na terenie natury ludzkiej.

Częste za pozytywizmu lekceważenie pseudonaukowe świętych atletów ducha dzisiaj wydaje się płaskie. To tak jakby, naprzykład, przeciętny s p a c e r o w i c z, na zasadzie empirycznej swoich przechadzek poobiednich, chciał dyskwalifikować metody sportowe Nurmiego jako przesadne.

Dzisiaj sport miewa więcej bigotów, niż religja. Należy im przypomnieć, że i chrześcijanie bywali c z e m ś na arenie: tam przecież zwyciężyli Rzym pogański.

*

W Assyżu powtórzyły się nanowo liczne zdarzenia z nad Genezaretu. Bo po wsze czasy i na wszystkich miejscach mogą się nawiedzenia Chrystusowe powtarzać. Nawrócony z dna nędzy Thompson dał temu wyraz w swej poezji. Oto urywek w przekładzie Miriama:

„...Anioły zawsze są, gdzie przedtem były,
Byle wzrok wytęż, — skrzydeł szum i wzlot!
Wam to, dla waszych mdłych oczu bez siły
Swą wielką świetność skrył wszechświatów splot...
...Więc płacz, gdyś smutny nad wsze smutku syny,
W synowskim bólu zwierz Ojcu swój los:
Cud Jakubowej wnet ujrzysz drabiny,
Z powałą nieba złączysz Charing-Cross..."

Poezja wszystkich narodów i czasów, potłukłszy alabastry pięknej formy, przypada nieraz jak nawrócona Magdalena do nóg Chrystusa i bez rachuby wylewa na nie swą wonność. Może d z i s i a j czyni tak, żeby Go znowu na pogrzeb pomazać? Ale pogrzeb Chrystusa to przecież tylko — zapowiedź zmartwychwstania za trzy dni.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

„Zygmunt August“ Wyspiańskiego jako apoteoza wierności. — Poezja a rzeczywistość dnia bieżącego.

SKARBCE poezji otwiera przed czytelnikiem, teraz dopiero po raz pierwszy w całości ogłoszony, ostatni, niedokończony utwór dramatyczny Stanisława Wyspiańskiego: „Zygmunt August“ [1]). Chciałoby się, biorąc każdy fragment-klejnot po kolei, ukazywać, z jakim blaskiem olśniewającym załamują się w nich, poprzez wieki przeświecające z oddali, promienie jagiellońskiej glorji. Chciałoby się na przykładach unaocznić, jak w weselnej scenie w Wiśniczu odżywa pogodny nastrój „Sobótki“, jak w rozpaczy króla po śmierci Barbary dźwięczy głębia, męstwo i prostota „Trenów“. Nęci zamiar, by uwydatnić nieuchwytny, przejmujący niepokój, jaki od pierwszej chwili unosi się nad miłością królewską, niczem owa „jakaś opona, czarny kir“, które dostrzegał Mochnacki w „Marji“ Malczeskiego, kiedy „złowieszcze przeczucie całą moc swoję odzyskuje na duszy naszej“. Narazie, w fejletonie kreślonym pod bezpośredniem wrażeniem, pragnę zwrócić uwagę tylko na jedno: na potężną, orzeźwiającą siłę moralną, zawartą w tem dziele, na przenikającą je siłę ducha, którą krzepić się będą pokolenia.

W wydawnictwie „Dzieł malarskich“ Wyspiańskiego [2]) reprodukowany jest jego portret własny, rysowany w r. 1907, na parę miesięcy przed śmiercią, wtedy właśnie, gdy poeta z gorączkowym pośpiechem pracował nad wykończeniem „Zygmunta Augusta“. Twarz obrzękła, w przykry sposób wykrzywiona, włosy potargane i przerzedzone, oczy bez wyrazu, bez blasku. Jakiejż mocy, jakiej równowagi duchowej było potrzeba, aby tak bez złudzeń żadnych zobaczyć swój własny stan, i z taką prawdą, z taką rzetelnością artystyczną go przedstawić! Przypominają się słowa jednego z późnych wierszy powalonego śmiertelną chorobą piewcy „Wyzwolenia“:

Wesoły jestem, jary,
choć idą czasy burz;
widzę z otuchą wiary
kwitnących ogród róż.

Wesoły jestem, świeży...
— cóż to?, na marach trup?
to ciało tylko leży,
lecz duch, jak ognia słup.

Na czem polega, w czem przejawia się istota tej siły moralnej, która w ostatnim, przedzgonnym utworze Wyspiańskiego tak odświeża, umacnia, podnosi? Może odrobinę światła rzuci na tę sprawę zestawienie „Zygmunta Augusta“ z tak nieprzeciętnem, klasycznem dziełem literatury naszej, jak „Barbara Radziwiłłówna“ Felińskiego. Temat tenże sam: zatarg króla z sejmem, pragnącym unieważnić małżeństwo jego z Barbarą. U Felińskiego widoczne jest, że Zygmunt August jest bojownikiem przedewszystkiem o swoją miłość, o prawo swobodnego wybrania sobie towarzyszki życia. Kochanek to niewątpliwie szlachetny, nieposzlakowany jak trzynastozgłoskowiec tragedji, ale trudno odmówić trafności uwadze Bony (akt II, scena 4), kiedy zarzuca królowi, iż próżno „za hasło bierze cnotę i z niej szuka chluby“, gdyż

„Miłość to; miłość swemi uroki łudząca,
Zaślepia twoją młodość i w przepaść cię strąca“.

U Wyspiańskiego miłość Zygmunta Augusta napewno nie jest mniej żarliwa, ale jej fundament etyczny założony jest bez porównania głębiej. Walcząc o miłość swą, król równocześnie i przez to samo toczy bój o świętość przysięgi małżeńskiej, o jednolity, określony ideał życia według jednego pionu moralnego zbudowany:

„Uderzaj serce kochające.
Drgaj, jak cię miłość tuli.
Trwaj święcie, niezłomnie,
przy wierze, przysiędze,
trwaj do ostatniej koszuli.
Niewiasto ufaj w mężu“.

Z goryczą odpowiada też Augustus senatorom i posłom sejmowym, kiedy domagają się odeń złamania wiary, rozerwania związku małżeńskiego z Barbarą:

„Gdy króla przysięga wiąże
w serdeczną miłość ubogą,
słowu męską wagę dając;
lepszy będzie obcy książe,
słowem jak piłką igrając.
Zaszczyci Polskę splendorem,
mnogiem bogactwem zbogaci,
pieniądzem cnotę opłaci“.

Jednolity bowiem styl struktury moralnej obowiązuje we wszystkich dziedzinach życia: u tych samych źródeł zaczerpnięty ideał wierności uświęca rodzinę, zapewnia spokój sumienia jednostce, daje siłę i spójnię duchową organizacji państwowej. Harmonijny typ cywilizacji nie znosi wewnętrznych sprzeczności. Wszystko wspiera się wzajemnie i usunięcie jednej cegły zagraża bezpieczeństwu całej budowli. Jedno rządzi zawsze prawo moralne, jak niepodzielną całością jest człowiek, i w koncepcji Wyspiańskiego już od pierwszej sceny w duszy Zygmunta Augusta obowiązek małżonka względem żony zespala się, utożsamia całkowicie z obowiązkiem króla-pomazańca w stosunku do swego narodu:

„Żem król, to na to bym dotrzymał
przysięgi, com ją złożył...
a prawdą ważył słowa moje.
Bom tyle król, co prawdą stoję“.

Dlatego też u Felińskiego naturalnem, logicznem zakończeniem tragedji miłosnej jest śmierć Barbary. Ale u Wyspiańskiego logicznem ogniwem końcowem jest akt Unji Lubelskiej, i to nie jako odrębna, osobna zupełnie część tryptyku (jak w trylogji Rydla), lecz jako niezbędny, konsekwentny finał jednego dramatu, jakim jest przez cały ciąg dzieła zmaganie się króla z losem, w rzeczywistości przez cały czas od początku toczącego

...boje
o to jedno szczęście swoje:
spokój duszy. —

Właśnie przez to, że nie zachwiał się w obronie sakramentu, stał się Zygmunt August godny tego, ażeby pod koniec życia swojego „Litwę ślubem powiązać z Koroną“. Właśnie dlatego miał

---

[1]) Stanisław Wyspiański: „Dzieła“ tom szósty, w opracowaniu Leona Płoszewskiego, nakładem Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska“ w Warszawie. Tom ten w którym zawarty jest m. in. „Zygmunt August“ (str. 153 — 239) ukazał się w handlu księgarskim przed paroma tygodniami. Już na kilka miesięcy przedtem ogłoszony był przez tych samych wydawców „Zygmunt August“, jako osobna odbitka z przygotowywanego tomu.

[2]) Stanisław Wyspiański, „Dzieła malarskie“. Inst. wyd. „Bibljoteka Polska“. Warszawa, 1925.

prawo moralne stanąć w sali sejmowej w Lublinie, tak jak na obrazie Matejki, z Krzyżem w ręce:

Przysiężemy na Krzyż Święty
Na Chrystusa Pańską mękę,
Że dajemy polskiej dłoni
Zaślubioną Litwy rękę".

W imię tego samego kompleksu zasad moralnych, którego w r. 1548 na sejmie w Piotrkowie bronił król w sprawie nierozerwalności swego małżeństwa z Barbarą, w dwadzieścia jeden lat później na sejmie lubelskim połączyły się Litwa i Korona „w jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżną, ale jedną Rzeczpospolitą, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła..."

— — — — — — — — — — — — — — —

Osobliwe odczuwa się wrażenie, kiedy od szczytów poezji zejdzie się ku rzeczywistości dnia dzisiejszego, zagłębiając się w aktualnościach chwili. Dzienniki przepełnione są polemikami i protestami z powodu projektu nowej ustawy małżeńskiej, opracowanego przez komisję kodyfikacyjną. Spór toczy się, czy sakramentalna nierozerwalność małżeństwa ma zostać zastąpiona przez bardziej elastyczną ideję jego „trwałości", czy przysięga: „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci" znaczy jasno i poprostu: „nie opuszczę aż do śmierci", czy też znaczenie jej należy wykładać w sposób „subtelniejszy": „nie opuszczę cię bez ważnych powodów i, oczywiście, bez odpowiedniego odszkodowania pieniężnego, zwłaszcza jeżeli przeżyjemy z sobą całe trzy lata i będziemy posiadali dziecko"...

A równocześnie, na innej stronicy dziennika, sprawozdania z zakończenia procesu brzeskiego. Wzrok pada na „ostatnie słowo" oskarżonego Wincentego Witosa: „Pan Rauze zdeklarował się jako wielbiciel przewrotu majowego... Pan prokurator zapomniał, że nie rozgrzesza się złamania przysięgi żołnierskiej, której nikomu nie wolno nawet dotykać. Niech się pan prokurator nie dziwi, że kiedyś w przyszłości będzie zbierał owoce z tego drzewa rozgrzeszenia, które zasadził"...

Czyż w dzisiejszej Polsce przypadek tylko podzielił ludzi na zwalczające się obozy polityczne? Czy w najróżniejszych dziedzinach życia nie toczy się walka o to samo: o jednolity styl budowy moralnej, o harmonijny typ cywilizacji, która nie znosi wewnętrznych sprzeczności?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

DZIWNIE NIEREALNE SĄ CZĘSTO DYSKUSJE PRASOWE na tematy najżywotniejsze. Jak zabawne w oczach przedstawicieli młodszego pokolenia obozu narodowego musiały być wywody „Gazety Polskiej" o dzisiejszej młodzieży! Pół-urzędowe pismo poświęciło tej sprawie dwa artykuły: „Kiepska pociecha" i „Klejnot, którego nie było". Przykłady djalektyki, w obozie sanacyjnym — tradycyjnej, a dla uszu młodego pokolenia w Polsce — niezrozumiałej. Tak zupełnie nie ma to wszystko związku z dzisiejszą rzeczywistością polityczną. Przedewszystkiem walka z „endecją" w niezmienionym stylu demagogji z przed lat kilkunastu. Nieoczyszczona broń ze starego arsenału. „Czy Narodowa Demokracja jest partją nacjonalistyczną? Broń Boże — jest stronnictwem udającem nacjonalizm. Nic na to nie pomoże — bo tak jest. Francuska chorągiew, zwieszająca się z Brystolu, z pokoju zajętego przez p. St. Grabskiego, jako przez delegata Komitetu Narodowego, nadesłanego dla „robienia porządku" w r. 1918 — jest tego przepysznym symbolem. Nie będziemy już cytowali Bobrińskiego..." itd.

Słowem, zarzuty i „argumenty" z czasów, gdy jedni wytykali właśnie ową chorągiew w Brystolu, a drudzy przypominali fotografję b. komendanta I Brygady, stojącego na baczność przed arcyksięciem austrjackim... Jakąż mają moc suggestywną np. dla rocznika młodzieży, co dziś liczy dwadzieścia pięć lat i świeżo ukończył studja na uniwersytetach? Jaką wartość w jego rozumieniu może mieć teza (naczelna): „Cała ideologja Narodowej Demokracji od lat, od długich lat przeniknięta jest niewiarą w zdolność Polski do samodzielnego życia?" Obliczona na ciemnotę polityczną w Polsce niewolnej, demagogiczna jeszcze przed kilkunastu laty, nad wyraz śmieszna wydawać się musi tym młodym, co na uniwersytetach spotykali się już tylko z sensowniejszym o wiele zarzutem nacjonalizmu. I nietylko śmieszna. Mimo cały humor sytuacji, młodzież patrzeć musi surowo na starsze pokolenie, gdy to ostatnie dyskusję polityczną ściąga na taki poziom. Młodzież światlejsza i bardziej krytyczna od starszych o dwadzieścia lat neo-nacjonalistów z „Gazety Polskiej". Niecierpliwić ją musi bezmyślny albo nierzetelny zarzut — „udają nacjonalizm", gdy ona dzieje myśli nacjonalistycznej w Polsce — zna, częstokroć przestudjowała źródłowo. Nie może czuć szacunku dla przeciwników, wołających — „ideologja N. D. od lat przesiąknięta jest niewiarą w zdolność Polski do samodzielnego życia" — gdy w „Myślach Nowoczesnego Polaka" znalazła najtwardszy wyraz wiary w siłę narodu. Razi ją fałsz i naiwność w oskarżeniach o „rusofilizm", gdy nagromadziło się tyle materjału, gdy z roku na rok nowe świadectwa, nawet najdalsze (jak wydana niespełna rok temu książka obserwatora angielskiego, Bernarda Paresa) — dokumentują prawdę historyczną. Światlejsza i lepiej wykształcona od działaczy, dziś popisujących się w sanacyjnych półurzędówkach, młodzież dokładnie sobie zdaje sprawę z tego, który kierunek najwięcej się przyczynił do odbudowania niepodległego państwa polskiego, który najwięcej położył zasług około stworzenia nacjonalistycznej ideologji. Na wyraz ciemnoty politycznej patrzy pogardliwie, wiedząc, że bezmyślność nie jest cenzurowana.

ALE PRZYPUŚĆMY NA CHWILĘ, że młodzież nic nie wie o zasłudze starszego pokolenia polskich nacjonalistów. Przypuśćmy, że mało ma świadomości historycznej. Wystarczy przypuścić, że ma żywe odczucie godności — i hańby — narodowej, aby wytłumaczyć jej tak jednolitą postawę wobec obozu „sanacji". Wystarczy uświadomić sobie, iż z państwem się zżyła, aby zrozumieć jej pogardę dla frazeologji „państwowej". Wcale nie potrzeba wertować traktatów ideologicznych poto, aby zająć bardzo określone stanowisko wobec państwowotwórczych aktów, popełnionych w Brześciu. Nie trzeba niczyjej inspiracji, żeby chcieć Polski praworządnej, zajmującej należne jej tradycjom miejsce w rodzinie narodów europejskich. Nie trzeba żadnych sympatyj partyjnych, żeby czuć wstyd za czczość mocarstwowego hasła, co nie powetuje nam utraty szacunku w świecie cywilizowanym. Wszystko to już samo przez się dostatecznie tłumaczy jasną konkluzję „Gazety Polskiej": „Młodzież nie jest w naszych rękach— niewątpliwie".

NAUKA I LITERATURA

SPÓR O PANIĄ HJELDE

BOHATERKA przełożonej ostatnio na język polski powieści Sygrydy Undset — „Pani Hjelde" — (Warszawa, 1931 r. Tow. Wyd. „Rój", przekład Marji Kuncewiczowej) — jest wzorową matką i żoną. Przecie — zanim stała się kapłanką ogniska domowego — musiała na ołtarzu tego ogniska złożyć niejedną ofiarę. Jako aktorka wyrzekła się swych aspiracyj artystycznych, pogrzebała swój talent, odeszła od świateł rampy, jako kobieta — musiała odejść od swych przyjaciół, zrezygnować z ich hołdów, poświęcić swą wolność osobistą, jako człowiek, jako żona i matka przyjęła na się szereg obowiązków, których brzemię ciężyć będzie na jej barkach nieustannie, dniem i nocą, do końca jakże pracowitego życia. A życie to wlecze się tak monotonne: „pan nad gazetą, czasami nad szachami, pani — nad wieczyście podartą bielizną". I trzeba tak bez sprzeciwu znosić uwiąd młodości. „Nigdy już nie mieć nikogo, ktoby kochał, podziwiał! Nigdy nie zaznać słodyczy tego uczucia: żyję — jestem zakochana... Ze wszystkiem swojem skończyć — wcielić się całkowicie w dzieci i czekać, kiedy opierzą się i odfruną"... Nagle, w koła tego życia Pani Hjelde wplata się zdarzenie, przygoda, którą ktoś zbyt pewny siebie mógłby nazwać przygodą miłosną, romansem. Jakiś dawno niewidziany przyjaciel, towarzysz dzieciństwa spotkany przypadkowo — budzi w sercu Pani Hjelde tęsknotę za młodością, urokiem miłości, grzechem może... I gdy na Panią Hjelde czyha zguba w jego ramionach, gdy groźna fala zbliża się, aby podmyć fundamenty jej małżeńskiego i rodzinnego szczęścia — wówczas ratuje ją od upadku nietylko miłość męża, lecz — w większym jeszcze stopniu — nieomylny instynkt macierzyński, głos obowiązku, które targają sercem i sumieniem. Pani Hjelde bowiem — pominąwszy już wszystko inne — jest człowiekiem honoru, pełniącym swe zobowiązania, płacącym swe długi i dotrzymującym swego słowa. „...Nic nie może usprawiedliwić krzywdy — mówi Pani Hjelde — jakąbym chciała wyrządzić domowi, który sama sobie obrałam na ognisko mego życia. Jestem najzwyklejszym, przeciętnym człowiekiem i nie wolno mi — podobnie, jak żołnierzowi — uciekać z szeregu..."

Tak mówi Pani Hjelde, a słowa jej są ważkim argumentem, rzuconym w wir walki o kobietę, o małżeństwo, o rozwody, walki, jaka się właśnie szerzy na wszelkich odcinkach naszego życia: na społecznym, religijnym, wyznaniowym, literackim, publicystycznym... Książka Sygrydy Undset jest książką nawskroś nowoczesną i nawskroś nowoczesne porusza zagadnienia. O Panią Hjelde—jako o żonę i matkę—toczy się właśnie gorąca walka. Oto rzekomo w jej obronie staje znakomity—znany ze swych skrajnie radykalnych przekonań—filozof angielski Bertrand Russell, oto w jej obronie kruszą kopje Boy-Żeleński i Władysław Rymkiewicz. Wśród wojennego zgiełku i zamieszania zapomniano przecie o rzeczy najprostszej i najważniejszej:—zapomniano spytać o zdanie samej Pani Hjelde. A zdanie jej jest tu bodaj decydujące. I właśnie Pani Hjelde wie, że „szczęście z przyczyny dzieci jest tak naturalne, że się go nie czuje. Te przeliczne radości—pierwszy śmieszny krok, cudaczne powiedzenie—któż je rachuje? A pocałunki niedołężnych warg? A ludzki rozum w miękkiej jeszcze czaszce? A odżegnane strachy? A wyleczone choroby? Nikt nie uważa tych znikomych blasków za szczęście! One jednak karmią nasze głody. Żaden człowiek nie mógłby żyć bez szczęścia... Doznając go wszakże, nie możemy o niem wiedzieć. Dopiero, gdy zwali się ból — oceniamy przepadłe zdrowie. Jakakolwiek będzie moja przyszłość — dopóki mam dzieci — z radością przyjmę każdy dzień". Pani Hjelde wie także, że szczęście przeżywa się najpełniej tylko z jednym człowiekiem — ojcem jej dzieci i że przystanią tego szczęścia jest małżeństwo w swych odwiecznych, tradycyjnych — a jak dziś może powiedzianoby — konserwatywnych formach. Tak tedy to nowoczesne zagadnienie rozwiązuje Sygryda Undset, która w sporze o Panię Hjelde doszła nareszcie do głosu.

Powieść S. Undset posiada wielkie artystyczne i literackie walory. Poruszony w niej i wysoce dziś aktualny problem—przyczyni się napewno do dużej poczytności, jaką się cieszą zwykle jej powieści. Przykład p. Kuncewiczowej — bardzo dobry.

T. B. S.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W zeszycie niniejszym przez dobór artykułów pragnęliśmy zaznaczyć, że łączymy się myślą z temi zainteresowaniami świata katolickiego, którym wyraz daje Komitet organizacyjny, zwołujący na dzień 17 stycznia ogólno-polski Zjazd pisarzy katolickich. Zjazd ten odbędzie się w Warszawie w sali Rady Miejskiej. Początek o godz. 12 w południe.

*

W ostatnich czasach niemal jednocześnie ukazały się na scenach warszawskich dwa oryginalne, pierwszorzędnej wartości dzieła dramatyczne: S. Miłaszewskiego „Drugie imię miłości" w teatrze Nowym, cieszące się stałem powodzeniem, a teraz Jerzego Szaniawskiego „Fortepian" w teatrze Narodowym. Bliższą wiadomość o nowej sztuce Szaniawskiego damy w zeszycie następnym.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W zeszycie styczniowym „Przeglądu Powszechnego" p. Wład. Arcimowicz zamieścił połowę pierwszą studjum p. t. „Prawdy Cyprjana Norwida". Usiłuje w niem związać fragmentaryczne wypowiedzenia filozoficzne Norwida w jeden system religijnego mistycyzmu. Autor pomija milczeniem pracę Z. Wasilewskiego o filozofji Norwida (nr. 22 i n. „Myśli Nar." z r. 1931). Tymczasem, o ile stanowisko katolickie Norwida po r. 1846 w oświetleniu p. Arcimowicza jasno daje się widzieć, o tyle nie da się niem wytłumaczyć poglądów Norwida w latach 1841 — 1847. Teocentryzm zasadniczy Norwida pochodzi z filozofji idealistycznej niemieckiej.

*

Wśród wydawnictw Instytutu Bałtyckiego w Toruniu, jako odbitka z drugiego tomu pracy zbiorowej. „Polskie Pomorze — Przeszłość i Kultura", ukazał się zarys Zygmunta Mocarskiego dyrektora książnicy im. Kopernika, p.t. „Kultura umysłowa na Pomorzu". Publikacja niewielka wymiarami (str. 86), ale z uwagi na treść, — ważka i wręcz pionierska. Autor w słowie niezwykle zwartem i oszczędnem zawarł rys historji kultury umysłowej Pomorza polskiego i ziemi chełmińskiej, zacieśniwszy w ten sposób przedmiot swych badań do obszaru dawnych Prus królewskich. Nie jest to zadanie łatwe — z powodu braku monograficznych opracowań długiego szeregu ludzi i zagadnień, leżących dotąd odłogiem zarówno w nauce polskiej, jak niemieckiej. To też synteza Z. Mocarskiego wyprzedza studja analityczne, i w tem leży jej trudność i zasługa. mudne badania autora—historyczno-literackie i bibljograficzne — pozwoliły mu zapełnić *de suo* niedostatki poszukiwań dotychczasowych. a jednocześnie rozświetlić drogę studjom przyszłym.

Materjał pracy ujęty w szereg kompleksów kulturalnych. Czasy przedkrzyżackie — literatura krzyżacka — humanizm pruski — reformacja... — takiemi to wielkiemi skrótami kreśli autor swój zarys, rewelacyjny i wielekroć nowy, pełen nieznanych, pominiętych szczegółów. Okazuje się, że „w dawnych wiekach... istniało więcej pisarzy z Pomorza, należących wyłącznie do piśmiennictwa polskiego, niżby się mogło zdawać pobieżnie. Są to w wielu wypadkach autorzy mało znani, zapomniani i nieraz niedoceniani." Okazuje się, „że tu, na Pomorzu polskiem, podobnie jak w innych dzielnicach kraju, istniało i rozwijało się, z małą przerwą na początku XIX-go wieku, piśmiennictwo narodowe w różnych zakresach". Uczeni zaś pomorscy i pisarze, posługujący się łaciną lub niemczyzną, odnajdą swój „właściwy walor i koloryt", gdy się ich ukaże na regjonalnem tle pomorskiem.

Oto są tezy końcowe, poprzedzone wywodami szczegółowemi, w których drobiazgowość oceny i ścisłość naukowego sądu idą o lepsze ze zdrowem, patrjotycznem poczuciem, że autor odrabia jedno z naszych licznych zapomnień. Ileż tu naprawdę zapomnień! Ile ciekawostek kulturalnych i li-

terackich, dobytych szczodrą dłonią zamiłowanego badacza! Ile rozświetleń, wskazań i podniet naukowych, dla wszystkich, którzy zajmują się pomorską dawną kulturą.

Pracownicy naukowi wdzięcznie przyjmą końcową obszerną literaturę przedmiotu, laicy zaś i miłośnicy przeszłości ciekawie przypatrzą się licznym, rzadkim reprodukcjom, podobiznom i fotografjom, któremi książka bogato jest ozdobiona. (T. M.)

*

Po szeregu powieści historycznych, z których najwyżej postawić należy powieść o Jakubie Szeli (wydaną u św. Wojciecha w Poznaniu), Stanisław Szpotański wrócił do tego, od czego był zaczął przed laty swą działalność beletrystyczną. „Wróżki“ (nakł. Gebethnera i Wolffa)— podobnie jak dawniej „Skradziony rękopis“ — mają tło współczesne, a treść zagadkową, jak się dziś mawiać zwykło: metapsychiczną. Jest w tem może coś z Allana Poe'go, ale utrzymanego w tonie sarmackim. W niedopowiedzeniach lubował się Szpotański i wtedy, gdy podejmował wątki historyczne; przypomnijmy sobie z „Odlotów“ tajemniczą „pannę Basię“, której tajemnica wyjaśnia się dopiero w powieści „Bez ziemi i słońca“. Miejmy nadzieję, że ukaże się wkrótce nowa powieść Szpotańskiego, która nam wyjaśni, co naprawdę stało się z bohaterem „Wróżek“, Gozmurem. Przepadł w jakiś sposób niewytłumaczony, którego zgłębienie stanowi trudność nielada i dla funkcjonarjuszów policji i dla różnych „wróżek“, z *madame* Weroniką Morawiec na czele. Spłatał figla wszystkim, a największego swej żonie. Ta, żyjąc na odludziu, w nieciepianej przez nią wsi, nawiązała była romans z młodym — zagadkowym w swej obcesowości — Barcicem, synem dawnego dziedzica Gozmurowej posiadłości; zniknięcie męża pomieszało jej szyki. Sprawę komplikuje zagadkowy testament Rukiewicza. Słowem, cały splot zagadek. Mówi o tem do Barcica jedna z osób powieści: „Was było sześcioro, Pan i pana matka, ojciec, pani Anna, Rukiewicz i Gozmur. Losy wasze były splątane. Nieraz tak się dzieje, a ludzie tego nie widzą... Wróżek się szuka, a samo życie jest wróżką, gdy się w nie wejrzy... Na jednym okręcie jechaliście wszyscy i — i razem dobiliście do brzegu. A wie pan, kto okręt ratował? Gozmur... Gdyby on nie wstrząsnął wami, coby z was było?“ W tych słowach jest kwintesencja całej powieści. Poza wspomnianą szóstką osób jest jeszcze sporo postaci dobrze nakreślonych. Wart uwagi jest zwłaszcza Kubarski — typ szczególnie często spotykany w dzisiejszych czasach. (J. B.)

*

Poezje Sabiny Raciążkowej wydane p. t. „Chińska akwarela“ (nakł. F. Hoesicka) mają — wbrew tytułowi —mało elementu malarskiego i kolorystycznego. Raczej jest to zbiór refleksyj, krótkich i przeważnie nieodpowiedzialnych, a prawie zawsze trochę ogólnikowych i mgławych, w których osobowość autorki rzadko kiedy naprawdę odsłania swe oblicze. Nawet tam, gdzie poetka — świadomie czy nieświadomie — jest najwięcej sobą (jak w wierszu „Koniec miłości“) psują niestety wrażenie szczerości pewne spowszedniałe już frazesy i porównania. Pomimo, że to już zbiorek trzeci (a w pierwszych dwóch bywały nieraz rzeczy z serca płynące), jednakże należy go jeszcze uważać za debiut, za stadjum twórczości początkującej, nieskrystalizowanej dotąd, nie umiejącej znaleźć własnego wyrazu. Niekiedy poetka probuje iść torem Iłłakowiczówny; droga to trudna i niebezpieczna, bo co u Iłłakowiczówny było urokiem pewnej śmiałości kaprysu i świeżości, to u innych może stać się manjerą. Wiersz o tęsknocie nawraca—dzięki sposobom wyrażania się i wzbudzenia nastroju— do nałogów „Młodej Polski“; natomiast rozrzucane nonszalancko nazwy geograficzne: „Abbazja (!)... Vevey... Lizbona... Palermo... Capri...“ trącą snobizmem niedawnej jeszcze mody wierszopisarskiej. Te chwasty powinna p. Raciążkówna wyplenić i wziąć praktycznie pod rozwagę słowa własnej, naprawdę ładnej zwrotki:

A ty nie umiesz jednego serca
Świeżem obrzucić pąkowiem—
Zbudzić na nowo i rozkołysać
I czekać, co ci odpowie?

Rozrzucone tu i owdzie równie ładne refleksje świadczą, że poetka umiałaby uzyskać tę świeżość i szczerość — gdyby tylko chciała.

Wiersz „Januszkowi“ jest naprawdę pełen wzruszenia— i wzruszający. (J. B.).

*

W ciągu krótkiego czasu doczekała się powtórnego wydania powieść współczesna Anny Zahorskiej (Savitri) p. t. „Trucizny“ (nakł. Domu Książki Polskiej). Tę poczytność zdobyła sobie nie sensacją, ale aktualnością swego tematu — a raczej tematów. Przez wątek powieści przesuwa się bowiem cały kompleks różnych zagadnień: narodowych, społecznych, religijnych i etycznych. Główną postacią jest Wasilewicz, potomek polskiej rodziny szlacheckiej, która za Polskę niejednokrotnie walczyła, sam jednak przejęty — a raczej może tylko poruszony — hasłami separatyzmu białoruskiego, sztucznie wylęgnionego i podsyconego po wojnie światowej. Ferment ten w duszy Wasilewicza nie wynika z jakiejś wewnętrznej potrzeby lub sympatji; ot, poprostu jest on przebłyskiem fantazji tego człowieka, który pomimo utraty — za bolszewickim kordonem — całego niemal majątku, nosi w sobie stale nawyczki i kaprysy wielkiego pana, zresztą potrosze i snoba. Wynikły stąd konflikt rodzinny — wobec niezłomnie polskich przekonań żony Wasilewicza oraz duchowego rozłamu w duszy młodej ich córki — wystarczałby na zawiązania węzła powieściowego. Utrudniła sobie pracę, a lekturę czytelnikowi, sama autorka, komplikując — niezawsze konsekwentnie — charakter Wasilewicza; narkotyzacja, puste rozmowy, nibyto estetyczne a w istocie popisowo - erudycyjne, a czasem i frazeologja pewnych epizodów trąca nieco przybyszewszczyzną, choć ich wprowadzenie wynikło z innych zgoła założeń i do innego wiedzie celu. Są to jednak rzeczy drugorzędne. W zasadniczym wątku powieściowym idzie Zahorska głównie śladami Rodziewiczówny, od której wzięła nietylko tło pejzażów kresowych i galerję kresowych sylwetek, ale i sam sposób ujmowania problematów (warto nadmienić, że z pod pióra Zahorskiej — która dziś rzuciła poezję, a pracuje czynnie na polu krytyki literackiej — wyszło niedawno studjum o twórczości Radziewiczówny). Książkę poprzedził przedmową ks. arcybisk. Teodorowicz, wyrażając uznanie dla szlachetnych tendencyj, w niej zawartych. (J. B.).

*

W czasie, gdy się toczy spór o istotę i nazwę dyktatury, zasługuje na przeczytanie wydana niedawno (Wydawnictwo Polskie, Poznań) książka publicysty i historyka obozu liberalnego, Guglielmo Ferrero, nosząca tytuł „Przemowy do głuchych“. Na str. 11 znajdujemy następujące słuszne uwagi: „Przyzwyczailiśmy się zwać Lenina, Horty'ego, Mussoliniego, Stambolijskiego „dyktatorami“. Jest to nazwa błędna. Dyktatorem był urzędnik republikański, któremu w okolicznościach krytycznych i nadzwyczajnych senat przekazywał wyjątkowe uprawnienia na czas ograniczony. Miał on prawo uciekać się do siły, ale nie dochodził przemocą do władzy. Rzekomi dyktatorowie naszej epoki zagarnęli władzę, wyzyskując chaos i nieporządek, powstały po wojnie. Władzy tej trzymają się, wpływając środkami przymusowemi na te czynniki, co do których istnieje domniemanie, że są wyrazem zgody, uzyskanej w toku swobodnej wymiany zdań. Nie są zatem dyktatorami, są raczej tyranami, w technicznem znaczeniu tego wyrazu, nadawanem mu przez Greków. Przedstawiają oni typ władzy, znany w epokach niepokoju, gdy autorytet się chwiał, a przemoc starała się go zastąpić wszelkiemi sposobami, używając w tym celu przeróżnych i zgoła niebezpiecznych środków“. Inna rzecz, że w dalszym ciągu swej książki — w rozdziale „Fala dyktatur“ — autor sam posługuje się terminem powszechnie używanym; ma to jednak swoje uzasadnienie, gdyż mówi tu o specjalnym gatunku tyranji — tym, który swoje rządy pozorował wolą narodu i prawowitością. Objaw to dziś pospolity, poprostu modny: „Fala dyktatur rozlała się po Europie, a Sulla staje się modną osobistością. W każdym kraju wszczęto stary proces przeciw demokracji i parlamentaryzmowi“. I wnioski ostateczne: „Porządek zapanuje nie wtedy, gdy w każdej stolicy rozsiądzie się dyktator z mieczem w dłoni, lecz wówczas, gdy jasno zdołamy odpowiedzieć na pytanie: czego chcemy?...“ Jest w tej książce wiele jeszcze ciekawych artykułów. Napisane są lekko i przystępnie; szkoda że lichy przekład utrudnia ich czytanie. (J).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W „*Editions du Capitole*“ ukazały się dwa nowe tomy Karola Maurras'a p. t. „*De Démos a César*“. Jest to zbiór rozpraw i artykułów, pisanych w różnych czasach, a poświęconych zagadnieniom demokracji i cezaryzmu. Naczelnym celem autora jest wskazanie różnic, jakie istnieją między ustrojem monarchicznym a cezarystycznym i wykazanie wartości monarchizmu.

*

Do długiego już szeregu powieści dodał Leon Daudet nową — „*Les Bacchantes*“. Fabuła powieści jest współczesna, treścią jej wielkie, wcielone w rzeczywistość współczesną zagadnienie religijne poznania tajemnic świata przez rozpacz i ból, czemu — jak wiadomo — służyły misterja dyonizyjskie w Grecji. Aktorkami opowieści Daudeta są kobiety współczesne o psychice bachantek starożytnych, które poświęcając się kultowi miłości potęgują siły umysłowe i poznawcze czcicieli Dyonizosa.

ZE ŚWIATA SZTUKI

PODOBNIE jak i Zachęta, ma Instytut, prócz kilku sal mniejszych, jedną dużą. Może ona tu również uważana jest za honorową, a może posiada poprostu najlepsze światło — niewiadomo. To pewne jednak, iż w niej właśnie znalazły się najciekawsze prace. Mianowicie: Witkowskiego R. obie „martwe natury“ i Felicjana Kowarskiego duża kompozycja „Wioślarze“. Typ sztuki, uprawianej przez Witkowskiego, biorąc zgrubsza, nie jest dziś rzadkością, wartościowsze i rzadsze są, mojem zdaniem, cechy, które bujny talent W. jej nadał. Sztuce bezprzedmiotowej, mniej lub więcej abstrakcyjnej, często grozi anemja; odwołanie się do natury nigdy nie zawodzi, opieranie się na wyobraźni ludzkiej ma swe granice. Malarstwo bezprzedmiotowe cechuje przeważnie przerost intelektualizmu, są to koncepcje mózgowe, spekulacje matematyczne niemal. Witkowski obraca się w tych granicach i—nic podobnego tu nie znajdujemy. Jego prace są pełne życia. Bujna żywiołowość temperamentu artysty przepaja te płótna siłą życiodajną, ożywia grube, kładzione z niebywałą techniką, warstwy farb, każe mu cieszyć się barwą i tą radością cieszy widza, to jest radość istnienia. Artysta nie żałował sobie niczego, nie poskąpił i nam.

Obraz Felicjana Kowarskiego „Wioślarze“ ma już swoją historję nieco burzliwą, jak fale na nim. Nie wyróżnia go jakaś bardziej indywidualna i odrębna technika, pod tym względem Kowarski nie wychodzi poza obręb zdobyczy współczesnego malarstwa paryskiego. Natomiast jako zadanie, pomyślane na szeroką skalę, pozostawia za sobą daleko, daleko w tyle ambicyjki wielu dzisiejszych leniuchów. Czy rozstrzyga to dzieło, choć w pewnej mierze, sprawę własnego oblicza naszej epoki? O tem mówić nie będę. W każdym razie posuwa ją naprzód. Naszym wybrednisiom może filozofja kolorystyczna tego dzieła wyda się zbyt mało wymyślna (niektóre miejsca są przeczernione), ale ja je wolę, ze wszystkiemi jego wadami, od tych wiecznych damskich pośladków, martwych natur i pejzaży.

Wyraz, pewien specyficzny nastrój, jaki posiadają wszystkie obrazy Kowarskiego, jest i tu. Czy kryje się w pałąkowatych plecach sternika łodzi, tego starucha o profilu Dantego? A może w ruchu młodzieńca-wioślarza, który oparł, zmęczony, głowę na dłoni? Czujemy go, ale gdzież on jest? To właśnie w tej tajemnicy mieści się sztuka.

W tej samej sali znajduje się jeszcze obraz M. Kotarbińskiego, artysty, który tak dużo od siebie wymaga, dwie poważne prace wybitnego intelektualisty i teoretyka kompozycji Mieczysława Szulca, piękny pejzaż, morski tym razem, Rafała Malczewskiego i t. d. Będziemy o tem mówili kolejno.

*

Po salonie w Zachęcie otwarto szereg wystaw, między innemi wystawę najpoważniejszego dziś w Polsce zrzeszenia artystycznego „Bractwa Św. Łukasza“. Poświęcimy jej w „Myśli“ w najbliższym czasie specjalny długi artykuł.

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. P. MICHAŁ BOJANOWSKI

W MAJĄTKU swoim Klicach pod Ciechanowem zmarł w dn. 9 stycznia 1932 r. Michał Bojanowski, znakomity rolnik, jeden z przodujących ziemiaństwu polskiemu, wzorowy obywatel kraju, zasłużony działacz społeczny, człowiek wielkiego charakteru i serca. Śmierć jego okrywa ciężką żałobą liczną rodzinę, ziemię ciechanowską, której był opiekunem i chlubą; boleśnie odczują tę stratę przyjaciele osobiści i polityczni, wszyscy, którzy mieli szczęście z nim bliżej obcować i pracować. Przedewszystkiem Stronnictwo Narodowe traci w nim jedną z najpewniejszych swój opór w kraju, człowieka, którego opinja była miarodajną, pomoc zawsze niezawodną, chorążego, któremu nigdy nie drgnęła ręka, dzierżąca wysoko sztandar idei narodowej.

Dzieje żywota ś. p. Michała Bojanowskiego skreślił w szczegółach, ogółowi bliżej nieznanych, towarzysz jego prac społecznych, poseł Jan Kornecki („Gaz. Warsz.“ z 12 stycznia). Oto główne momenty tego żywota:

Urodził się 23 lutego 1865 roku, we wsi Włóki, ziemi płockiej, gimnazjum ukończył w Płocku w 1884, Instytut Puławski w 1888 roku. Już w czasie studjów puławskich wszedł do tajnej organizacji młodzieży, która stworzyła ruch wszechpolski.

Po ukończeniu studjów, osiada na wsi, by realizować ideały narodowe przez uświadamianie mas ludowych. Do spółki z dwoma kolegami, Władysławem Płoskim i Antonim Hemplem, bierze w dzierżawę majątek Wrogocin w ziemi płockiej; jeden z nich kolejno prowadził administrację, a dwaj inni, razem ze służbą, pracowali fizycznie, nawiązując w ten sposób bezpośredni kontakt z ludem, wśród którego rozpoczęli pracę kulturalno-uświadamiającą. Działalność ta zwróciła uwagę władz rosyjskich i po dokonanej rewizji, wytoczono Bojanowskiemu dochodzenie administracyjne, zakończone w r. 1891 aresztowaniem i osadzeniem w twierdzy petropawłowskiej na pół roku.

Po powrocie z więzienia, osiada w majątku Klicach, powiatu ciechanowskiego, który nabył od ojca. Tu, w Klicach, rozpoczyna nanowo przerwaną chwilowo pracę narodową, obejmując z ramienia Ligi Narodowej kierownictwo całej akcji społeczno-narodowej, wspólnie z sąsiadami swymi, Stanisławem Chełchowskim i Józefem Choromańskim.

Bezpośredni kontakt z ludem: tajne nauczanie, kolportaż „Polaka“ i książek polskich, podnoszenie kultury rolnej na zagonie chłopskim dobrą radą i przykładem na własnem gospodarstwie, praca w gminie i powiecie w charakterze pełnomocnika gminy z wyboru ludności, zachęcanie okolicznego ziemiaństwa do pracy nad ludem, zjednały mu nietylko wielką sympatję, ale i wpływ decydujący na szerokie masy.

To też kiedy przyszedł okres rewolucji w 1905 roku, Michał Bojanowski wprowadza skutecznie, zapomocą uchwał gminnych, język polski do administracji gmin i szkół powiatu ciechanowskiego i sąsiednich. Wywołało to dla niego nowe represje władz rosyjskich: skazany został na poważną karę pieniężną, oraz na banicję; wyjechać musiał zagranicę, skąd jednak wrócił niedługo, naskutek amnestji.

Bierze wybitny udział w pracach ówczesnego Stronnictwa demokratyczno-narodowego, dając mu nietylko pracę, ale i pomoc finansową, potrzebną dla jego wielkich zadań.

W r. 1906 ziemia mazowiecka wybiera go na posła do drugiej Dumy, gdzie dał się poznać, jako wybitny orędownik sprawy polskiej.

W dalszym ciągu inicjuje w swoich powiatach wszelkie akcje społeczno-oświatowe z ramienia Polskiej Macierzy Szkolnej, jako członek jej rady nadzorczej (wybrany 1 lipca 1906 r.) i Centralnego Tow. Rolniczego, jako przewodniczący okręgowy kółek rolniczych.

W okresie wielkiej wojny prowadzi akcję Centralnego Komitetu Obywatelskiego i Rady opiekuńczej na swoim terenie, przygotowując lud do roli gospodarza we własnem państwie. W r. 1918 zostaje prezesem Rady szkolnej okręgowej powiatu ciechanowskiego, która tworzyła sieć szkolnictwa polskiego.

Ciesząc się wielką popularnością i zaufaniem ludności, został posłem do Sejmu ustawodawczego w r. 1919. W Sejmie tym odgrywa wybitną rolę, jako członek komisji administracyjnej i ochrony pracy, z ramienia klubu Związku Ludowo-Narodowego, jako znawca spraw samorządowych.

W r. 1922 zostaje wybrany senatorem województwa warszawskiego, by znów, w pierwszym polskim Senacie, przyczynić się rzetelnie do rozwoju jego działalności ustawodawczej. Pozatem jest członkiem sejmiku i wydziału sejmiku ciechanowskiego, przewodniczącym dozoru szkolnego, prezesem powiatowym L. O. P. P. i kółka rolniczego gminnego, delegatem sejmiku do wydziału wojewódzkiego, uczestniczy we władzach C. T. R., prowadzi straż pożarną we własnej wsi, starając się ożywić działalność wszystkich organizacyj społecznych, istniejących w powiecie.

Od roku 1928 ś. p. Michał Bojanowski usunął się dobrowolnie od pracy parlamentarnej, pozostał tylko we władzach naczelnych Stronnictwa Narodowego. Natomiast oddał się całkowicie pracy społecznej na miejscu. Chciał być stale blisko ludu, który ukochał i blisko ziemi, na której praca dawała mu hart i siłę ducha.

Ze ś. p. Bojanowskim zawiązałem bliższe stosunki po wojnie, przedtem bowiem mieszkałem we Lwowie. Poznałem też zblizka towarzysza jego prac ś. p. Józefa Choromańskiego z Żochów, z dawniejszych zaś czasów pamiętałem ś. p. Stanisława Chełchowskiego z Chojnowa i braci Płoskich. Jeżeli nieraz w pismach swoich zastanawiam się nad zaletami Mazurów i im wróżę wielką rolę w dziele dźwigania i konsolidowania Polski, to zawsze mam na myśli tych właśnie przedstawicieli plemienia mazurskiego.

Bywając w Klicach, z najwyższem upodobaniem przypatrywałem się ś. p. Bojanowskiemu, jako doskonałemu wytworowi szczeropolskiej, wiejskiej kultury. Był to człowiek na wszystkie potrzeby społeczeństwa. Jeden z tych, którzy są mu nieodzowni, są punktem stałego oparcia, jak filary zawsze pewni, odpowiedzialni, dobre duchy trwałości, ciągłości i dokonania.

Chełchowski górował nad swymi towarzyszami pracy wiedzą, talentami i rozległością zasięgu swych oddziaływań, ale nikt nie wyrównywał ś. p. Bojanowskiemu harmonijnością zalet. W jednej z prac literackich, kiedy mi chodziło o psychologję poezji objektywnej, jak ona się objawia w człowieku pracy, scharakteryzowałem postać Bojanowskiego, zajętego dolegliwościami drzewka przydrożnego. Istotnie, stosunek jego do świata przepojony był uczuciem prostej, bezpośredniej życzliwości, rzec można, ojcowskiej. Nie była to tylko dobroć wrodzona, widziałem w niej wysoką kulturę, bo ta dobroć była zawsze rozumna i opiekuńcza, miała w sobie dużą dozę nakazu moralnego. Jeżeli zamiast drzewka postawimy wobec takiego człowieka jakieś zagadnienia społeczne czy polityczne, to zobaczymy, jak pięknie na tym gruncie wyrasta idea obowiązku i ofiary.

Był to wysoki gatunek kultury, niedostatecznie doceniany z powodu swej małej efektowności. Kto jednak szuka, na czem cywilizacja polska się oprze, ten z radością patrzy na ludzi tego typu kultury, którzy zalety społeczne doprowadzili do stanu bezwiedności i czynią dobrze, nie poczytując się za bohaterów, a przytem są twardzi, bo dobroć kultura sprzęgła w nich z rozumem. U takich ludzi nic się nie *nazywa*, lecz wszystko *jest*. Patrząc na ś. p. Bojanowskiego, utwierdzałem się w zasadzie: dobrze jest ukochać pracę, bo wtedy odpada kwestja obowiązku. Nie umiałby nazwać, co jest jego obowiązkiem, bo on płynął z naturalnej potrzeby służenia środowisku. Ono całe wraz z ziemią było jego rozszerzoną rodziną.

W Klicach widziałem, jak przez rodzinę rośnie cywilizacja społeczna. Rodzina Bojanowskich, z nim jako patrjarchą, była pięknym fragmentem społeczeństwa. Ożeniony z ziemianką, Jadwigą z Rudowskich, z nią dzielił swoje troski i prace, a przedewszystkiem sprawę wychowania licznego grona dzieci: pięciu synów i trzech córek. Dzisiaj to nowe pokolenie jest już na stanowiskach, wyposażone w warsztaty i wiedzę, a przedewszystkiem w charaktery, największy majątek po ojcu. Jeden z synów, Stanisław, gospodarujący w sąsiednich do Klic Jarlutach, jest posłem na Sejm.

Zeszedł z pól, które uprawiał, ale ich nie osierocił, bo to, co związał i w ruch wprawił swoją pracą, rozumem i miłością, żyć będzie jako jego imienia puścizna. Takie groby są źródłami żywota.

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

Na dziesięciolecie Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy. Bydgoszcz 1931. Str. 285 i 12 rycin. in 4-o. (Wyd. ozd.). Egz. 200.

Sienkiewicz Henryk. Pisma T. XXVII. Na polu chwały. Warsz. — Lwów. Gebethner i Wolff — Ossolineum.

Bandrowski Kaden Jul. „Aciaki" z 1-szej A.

Nakładem Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie ukazały się:

Rogoszówna Zofja. Pierścień króla Salomona. Ilustr. A. Gramatyki-Ostrowskiej.

Jarecka-Maurin Benigna. Dziwy i czary mojego dzieciństwa.

Ostrowska Gr. A. Smyk i urwis. Dziwne przygody wesołej czwórki.

Wydawnictwo Polskie (R. Wegner) w Poznaniu wydało następujące książki:

Rodziewiczówna Marja. Gniazdo Białozora. Powieść współczesna.

Kossak-Szczucka Zofja. Topsy i lupus. Powieść dla młodzieży. Z ilustr. Ożmina.

Kipling Rudyard. Księga Dżungli. Przekład J. Birkenmajera.

Disslowa Marja. Jak gotować. Praktyczny podręcznik kucharstwa. Przejrzała i uzupełniła Pani Elżbieta. 261 ilustr. S. 871.

Bertrand Ludwik. Ludwik XIV. Przekład Stan. Wasylewskiego. S. 293 z ilustr.

Hołówko Tadeusz. Przez kraj Czerwonego Caratu. — Z przedmową W. Stpiczyńskiego. Warsz. 1931. Dom Ks. Pol. S. XV i 153.

Karaffa Korbut Kaz. Działalność naukowa i pedagogiczna U. S. B. z lat 1919 — 1929, w świetle zestawień statystycznych. Wilno 1931. Str. 18.

Ruch Literacki. Warszawa, listopad 1931.

Kalendarz Królowej Korony Polskiej na r. 1932. Rocz. VIII. Miejsce Piastowe (1931).

Helsztyński Stan. W ogrodzie Halszki. Szamotuły 1931. (Poezje).

Rubić Ivo. *Les Italiens sur le littoral du Royaume de Yougoslavie.* Split 1931. s. 64.

Półrocznik wychowanków Podlaskiego Mniejszego Semin. duchowego. Rok szk. 1930/31. Półr. I i II. Pod kierunkiem prof. Teodora Turka. Siedlce 1931.

Piotrowicz Wiktor. Unja czy demonstracja. O obrządku wschodnio-słowiańskim w Polsce. Wilno 1931. S. 79.

Boy-Żeleński. Znasz-li ten kraj? (Cyganerja krakowska). 55 ilustr. w tekście. Warsz. (1931). Bibl. Boya. S. 217.

Spillmann Józef. Miłujcie nieprzyjaciół waszych! Opowieść. Tłumaczył ks. Paweł Wieczorek. Lwów 1931. Tow. „Bibl. Religijna".

Wieczorek Paweł ks. Św. Mikołaj. Wizja sceniczna w 5 aktach. Wyd. III. Lwów. 1931. Z Jeleń.

Wieczorek Paweł ks. Polska jest wolna! Obrazek sceniczny Wyd. III. Poznań 1930. Zjedn. Młodzieży Pol.

Wieczorek Paweł ks. Cudowna noc. Jasełka. Poznań 1930. Tamże.

Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu wydała na gwiazdkę:

Reuttówna Marja. Królewna. Powieść. Wyd. III z ilustracjami.

Barclay Florence. Biała kseni z Worcester. Powieść.

OFENSYWA

MARINETTI ZAPRASZA, NO TO JECHAĆ!

CO DRUGI, trzeci dzień wywleka się gdzieś, skądś jakieś tam dusery, komplementy, komunały, truizmy i dyrdymały, jakie gdzieś tam ktoś wysłannikowi „Żata" o Żydach i żydostwie wypowiedział. Oczywiście i... inni to praktykują, ale nie wszyscy tak monotonnie i nachalnie (jedyny rym do Kachał). A ponieważ glob ziemski jeszcze dość duży i różne narodki potrzebujące forsy na nim siedzą, więc co drugi dzień da się tu lub tam coś wyskrobać, wydusić, wyszantażyć. Przedewszystkiem każdy w każdem państwie minister spraw zagranicznych, jeśli nie chce być obszczekany na obu półkulach, musi się pokłonić dwa razy na rok Baalszemowi. Każdy minister skarbu powinien na pamięć umieć dwie strofki Koł-Nidre, a w wywiadzie cytować to Bergsohna to Freuda... Królowie też, bojąc się o podpiłowanie tronu, muszą od czasu do czasu podlizywać się Złotemu Cielcowi. Literaci, tenorzy, pięściarze, gwiazdory filmowe także. W ten sposób co drugi dzień idzie roztelefonowana po całym globie pochwała narodu wybranego, którą się potem kole w oczy narodu, wśród którego się mieszka. Aha, widzicie, o mon-goye czy mongoły, jak to nas cenią w Honduras? a jak nas chwalił premier w Oslo? Generał Smuts masowo zaprasza do Transwaalu. Minister kanadyjski zaprzecza legendzie o handlu żywym towarem. I t. p. i t. d.

Ostatnio na ten przykład ogromnie się rozgadał Don Fernando de Los Rios. Co gdzie krok zrobił i spotkał jakiego marranosa, zaraz mu się wywnętrzał z sympatjami może nie tyle do gałęzi aszkenazim ile do sephardim. Nawiasowo mówiąc z całego obecnego gabinetu hiszpańskiego najczerwieńszy to syndykalista i warchoł, z którym tam dużo mają kłopotu. Ale „Żat" z satysfakcją obwieszcza to, co nagadał don Fernando aż w Tetuanie (w Marokku):

„W toku rozmowy minister wyraził w imieniu hiszpańskiego rządu republikańskiego ubolewanie z powodu krzywdy, jaka się stała Żydom na skutek dekretu o wygnaniu z r. 1492. Rząd hiszpański, oświadczył minister, jest zadowolony, iż wreszcie ta hańbiąca plama została starta. Współczesna Hiszpanja umie ocenić wielkie zasługi Żydów dla kultury hiszpańskiej i cywilizacji. Minister De Los Rios wierzy, że Żydzi zapomną o doznanych krzywdach i pomogą Hiszpanji rozwijać jej kulturę, która nie uznaje żadnych różnic wyznaniowych."

Łatwo takiej Hiszpanji „nieuznawać", jak ich ma w globalnej sumie k i l k u n a s t u, licząc w tem turystów.

Ledwie wrócił z Tetuanu de Los Rios, zaraz woła drugiego pana z „Żata" i daje mu wywiad drugi.

„w którym podkreślił wielkie zasługi, położone przez Żydów sefardyjskich dla rozwoju handlu, przemysłu i bankowości w Marokko hiszpańskiem. Minister oświaty wypowiedział się za utworzeniem towarzystwa hiszpańsko-żydowskiego wzorem francuskiego *„Alliance Israelite"*, któreby przyczyniło się do rozpowszechnienia kultury hiszpańskiej wśród żydów sefardyjskich w Marokko".

Czytają takie cymesy pilnie, by się kształcić w sztuce rządu, nasze de Los Riosy. Ministrant oświaty podaje „Nasz Przegląd" księdzu Żongołłowiczowi z triumfem: czytał to kolega? i cóż na to? Ano cóż? „Wypada i nam coś znów ustąpić naszym Chazarom, jak tam tak estynują Sephardyjców". Ostatnio znów przyczepili się ni stąd ni zowąd do... Marinettiego. Italia w Sanacji jest w modzie, pan Sławek ogorzał już od miesiąca przeszło, Marinetti firma znana, należy do Akademji, nazwisko jest, za rozgłos światowy duszę by Antychrystowi zapisał, więc w te pędy szrajbjingełes do *messire Francesco*, no i gotów wywiad:

„Stwierdzić mogę z pewnością, iż wśród „nieśmiertelnych", którzy wkrótce będą powołani na członków akademji, znajdą się również osobistości żydowskie, które przynoszą zaszczyt współczesnej nauce włoskiej. Jest prawie pewnem, iż tytuł akademika będzie nadany profesorowi uniwersytetu rzymskiego Cezarowi Vivantiemu, który jest jednym z najwybitniejszych autorytetów w dziedzinie prawa handlowego. Fakt, że wśród pierwszych członków akademji nie było Żydów, nie może być przypisany jakimkolwiek pobudkom natury antysemickiej".

Po takiem *dictum acerbum* pyta się „Żaciarz" autora *„Il Re Bombaccio"* i kilku manifestów psychopatycznych o to oczywiście, co mu najbardziej leży na wątrobie: o *numerus clausus*. Wtedy sędziwy *bajazzo*, którego od 10 lat ani jedna kawiarnia (nie mówiac o redakcjach) nie bierze całkiem na serjo, odpowiada (ciesząc się zgóry na grubszy „forszus" od Fratelli Treves):

„Hasło wprowadzenia *numerus clausus* jest nietylko przestępstwem, lecz również bezsensowne. Tak samo, jak bezsensownem jest, przestępczem i wreszcie niemożliwem zakazać komukolwiek oddychać powietrzem lub uniemożliwiać korzystanie z światła elektrycznego, tak samo jest niesłusznem czynić wstręty młodzieży żydowskiej w jej dążeniu do nauki i kultury. Cóż to zresztą za nonsens hamować rozwój zdolności żydowskich i ducha żydowskiego, który stworzył tak wielkie wartości dla ludzkości. Przestępstwem jest kłaść tamy żądzy wiedzy narodu, obdarzonego tak twórczym intelektem. Świadczy o tem bodaj niewspółmiernie wielka liczba żydowskich laureatów Nobla. Ostatnie ekscesy na uniwersytetach w niektórych krajach europejskich są jedynie dowodem zdziczenia i rozpętania złych narowów, panującego w Europie".

Sędziwy *blagueur* wygłupia się w sprawach, o których niema najmniejszego pojęcia. Kilka miesięcy temu reformował kuchnię włoską i układał nowe *menu*, a teraz kabotyn reformuje oświatę w Europie. Łatwo mu krytykować z ł e n a r o w y gdzieindziej, skoro cała Italia liczy sobie hebrajów 45.000. Niechby sobie przeczytał w wolnym czasie Pucciniego powieść *„Ebrei"*, toby zmienił w 24 godzin swój sąd o młodzieży uniwersyteckiej takich narodów, które uginają się pod garbem semickim. A odkąd to znowu z powrotem jest *messire Francesco* taki liberał, na eksport liberał? dla żydowskiej klijenteli liberał? Boć przecież nie tak to dawno, jak wyleniały żongler znów wydał do narodu włoskiego manifest, w setkach tysięcy odbity i rozsyłany, w którym wystąpił nie jak nacjonalista już, ale szowinista stuprocentowy. Oto jakie streszczenie czytało się w jednem z pism włoskich z tej ostatniej Marinatty:

„Marinetti w słowach nader ostrych potępia małżeństwa Włochów z cudzoziemkami, potępia artystów którzy znaczną część życia spędzają zagranicą (Toscanini? Pirandello?) potępia przemysłowców, wywożących owoce swej produkcji do cudzych krajów, historyków, którzy swą z b r o d n i c z ą o b j e k t y w n o ś ć posuwają do szczegółowej analizy i opisu nieszczęsnej dla armji włoskiej bitwy pod Caporetto..."

Wyobraźmyż sobie, że taki stuprocentowy szowinista, z takim programem ideowym wyjechałby z Italji (gdzie jest niecałe 50 tysięcy izraelitów) i przeniósł się na jakiś czas do Polski, gdzie jest 13%. I że takiemu Mariniettemu dostałyby się w ręce cyfry statystyczne uczącej się w Polsce młodzieży z roku akademickiego 1929 — 1930:

Uczniów szkół średnich było 205.000, szkół wyższych 43.000.

Wśród uczniów już szkół średnich jest zaledwie dwie trzecie katolików, reszta należy do wyznań niekatolickich, a ścisły stosunek procentowy przedstawiał się: katolików 67% izraelitów 2 2 p r o c e n t!

Ogólna liczba słuchaczów i słuchaczek 43.249, z czego katolików 28.815, a i z r a e l i t ó w 8.407.

Albo znów cyfry Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie na rok 1930 — 1931: na 3.618 studentów przypada 1.075 żydów! na prawie 1.126 studentów z czego 375 żydów; na medycynie 677 studentów w tem 225 żydów!

W jakiej proporcji jest procent studjujących izraelitów do procentu ludności wyznania Mojżeszowego?

Jaki manifest do Polaka wydałby wtedy Francesco Marinetti?

Jakie stanowisko zająłby w kwestji *numerus clausus*?

I co wtedy powiedziałby autor „Dobosza Ognistego" ognistemu Machabejowi, przychodzącemu z wywiadem?

Via! Via Ebreaccio! ma subito!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Czas" utrzymuje, że „dr. Hupka stanowczo i surowo osądził wszelkie próby rządzenia k i j e m — to znaczy brutalną przemocą, podkreślając słusznie, że każdy kij ma dwa końce".

Kijem nie wolno, bo można drugim końcem coś oberwać, ale batem trzeba, bo bat ma jeden koniec.

Zdaje się, że „Czas" słusznie oberwał w p. Hupkę.

*

Aforyzm „Czasu":

„Któż nie rozumie, że dyktatura nie jest rezultatem indywidualnego łamania prawa, ale instyktową reakcją społeczeństwa wobec grożących mu w pewnym okresie niebezpieczeństw".

Już nie zdaje się nam, ale napewno „Czas" zasłużenie dostał w dr. Hupkę.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.